



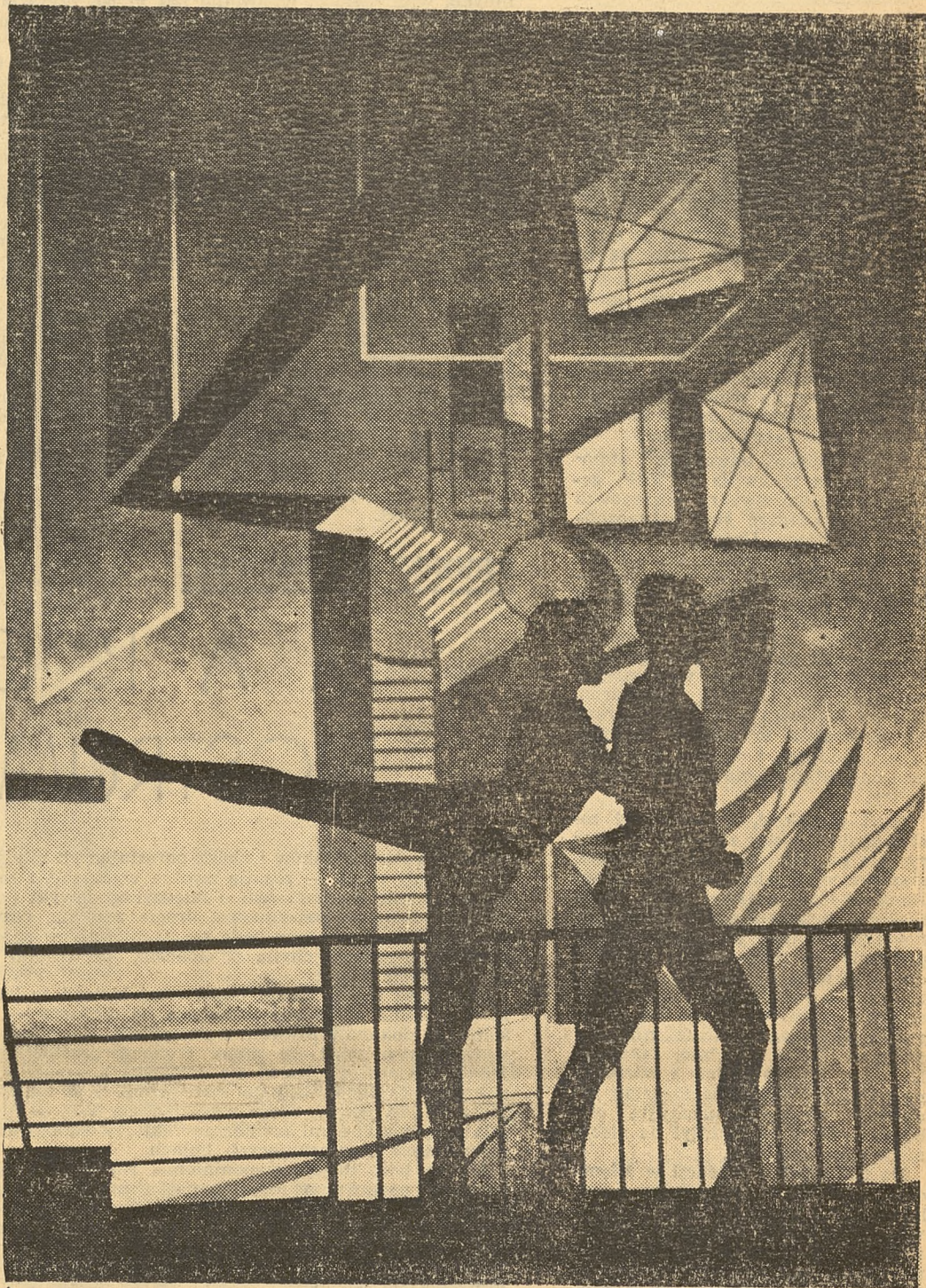
Olimpiada — główny temat rozmów

Doskonale spisali się nasi kajakarze. Oto Walkowiakówna (z prawej) — zdobywczyni pierwszego dla Polski brązowego medalu i Mendelska.

Opera i balet z Belgradu w Polsce

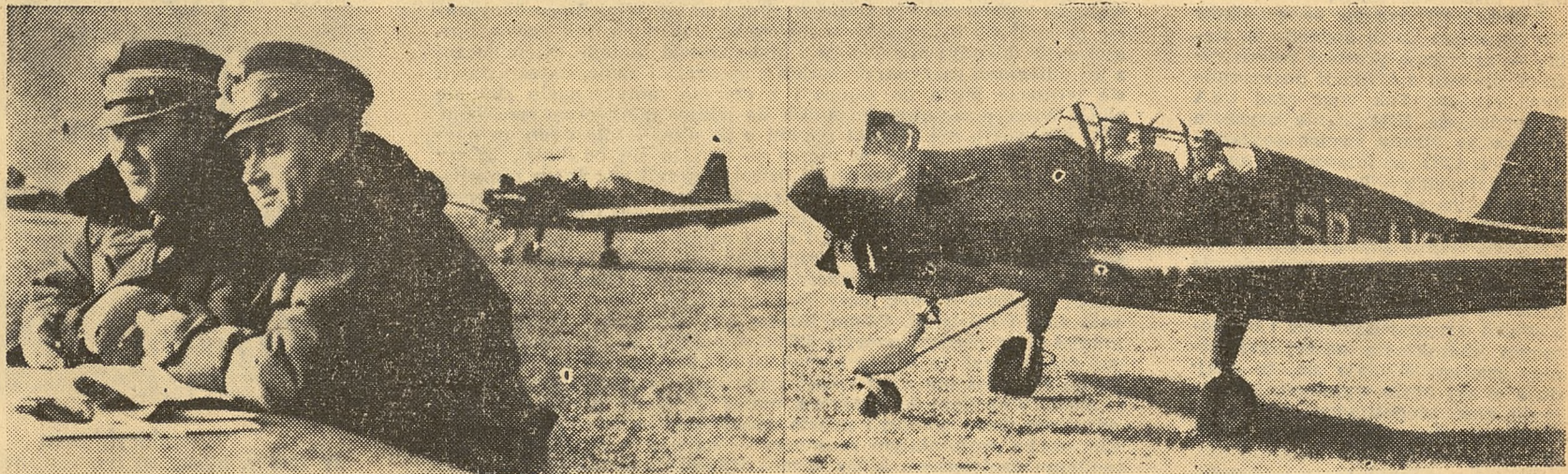
Fragment baletu Bell Bartoka pt.: „Cudowny mandaryn”.

1 września rozpoczął się rok szkolny...



DNI LOTNICTWA

DLACZEGO PILOT nie PEKA?



Zanim pilot zasiądzie za sterami nowoczesnego odrzutowca — przez wiele godzin musi „trenować” na maszynach bardziej prostych. Jest to jeden ze składników tzw. lotniczej adaptacji. Fot. CZESŁAW BREIT

Reporterowi wskazano wąskie drzwi prowadzące do kabiny w kształcie cylindrycznym. Dwoch żołnierzy pełnego stalowe drzwi — szczelnie hermetycznych rygli już nie słyszałem. W małych okrągłych okienkach pojawiły się twarze zaciekawionych oficerów, obserwujących zachowanie się delikwenta w doświadczonej komorze Wojskowego Instytutu Naukowo-Badawczego i Doświadczalnego Medycyny Lotniczej w Warszawie. Po chwili reporter siedzący wygodnie w fotelu wewnątrz kabiny — usłyszał z głośnika spokojny głos informującego oficera:

— Wyrażenie adaptacja dotyczy nie tylko sztuk teatralnych. Znajduje ono pełne zastosowanie w lotnictwie. Technika lotnicza poszła tak szybko i daleko naprzód, że ludzki organizm już nie „nadaża” i pilot — zanim zasiądzie za sterami — musi stopniowo przyzwyczaić się do warunków w nowoczesnym samolocie ileś tam kilometrów nad ziemią.

Do tych celów służy m. in. komora, w której notują te słowa, wypowiedziane przez człowieka oddzielonego ode mnie ścianami hermetycznie zamkniętymi: słyszę go wyraźnie dzięki urządzeniu radiowemu. Gdy nie nadążam z notowaniem, mówię: chwileczkę — i jestem równie dobrze słyszany.

— W komorze tej można dowolnie zmieniać ciśnienie, a więc stwarzać warunki panujące na różnych wysokościach. Widzi pan szereg przyrządów. Są to elektroencefalografy do badania czynności mózgu, elektrokardiografy — do badania serca, kimografy czyli po prostu roentgen, serio-grafy — aparaty do zdjęć seryjnych i kolorowych, barografy — wykonujące wykresy, barometry...

Komora, oprócz połączenia radiowego posiada także telefon oraz specjalny kod dzwinkowy, które w każdym wypadku umożliwiają stałą łączność ze światem zewnętrznym.

GDY GOTUJE SIĘ KREW

Przez kilka godzin reporter spacerował po różnych laboratoriach, pracowniach i korytarzach Instytutu — przypatrywał się różnym „cudom” i słuchał rozmów oraz objaśnień fachowców. Oto kilka przykładów:

Lotnik znajdował się na wysokości 3.500 m. Burza zaczęła rzucać maszyną i pilot zdecydował się „skoczyć” wyżej. Na 6000 m zaczął odczuwać zmęczenie i senność. Wreszcie zaczął się po prostu dusić z powodu braku tlenu. Uratowała go specjalna maska, przez którą czerpał tlen ze zbiornika. Problem tlenu na dużych wysokościach można rozwiązać także przez hermetyczną kabinę, ale w maszynach bojowych maska wydaje się praktyczniejsza.

Gdy lotnik zameldował, że znajduje się na 13 tys. m. kolega z obsługi naziemnej poradził: — Uważaj bo pęknie! — Wówczas pilot przekreślił kurek i opasując go „dętki” napędzając

się gazem, zaczęły go coraz ciśniej „zaciskać”.

Na 20 tys. m. w pilocie zaczęła się gotować krew. Dosłownie — zgodnie ze znanym prawem fizycznym mówiącym, iż przy mniejszym ciśnieniu szybciej następuje wrzenie. W tym wypadku lotnika również ratuje specjalny skafander podobny do stroju nurka lub hermetyczna kabina.

LOTNIK IDZIE NA RYBY...

Na wypadek przymusowego lądowania — przygotowano cały arsenał środków dla pilota. Kamizelka ratunkowa i „Dinghy” są wyposażone w specjalne urządzenia, które przy zetknięciu się z wodą natychmiast automatycznie napełniają kamizelkę i łódkę gazami. Na sobie lotnik nosi tornister, w którego przegródkach znajduje się żywność w nieprzemakalnych opakowaniach: konserwy mięsne, susz owocowy, wysokokaloryczne ciastka, czekolada, papierozy, zapalniczka. Jest rów-

nież składana wędka i komplet haczyków do łowienia ryb.

Lotniczy pistolet służbowy posiada wymienne lufy. Pierwsza służy do strzelania normalnymi pociskami. Druga wymienna lufa skręca się z kilku kawałków i wówczas pistolet zamienia się w broń myśliwską do strzelania śrutem. Trzecia lufa jest przystosowana do raket. Uniwersalny plecak pilota zawiera również małą radiostację wielkości aparatu fotograficznego. Ostatnio dodano jeszcze preparat umożliwiający picie wody morskiej.

O różnych „cudach” naszego wyposażenia lotniczego — można by mówić jeszcze długo. Wymieniłbym kilka — wydawałoby się, że znaczą one niewiele, ale tak nie jest. To są drobiazgi, które uratowały już niejedno życie. Pracował nad nimi cały sztab fachowców i to przez długie miesiące, a nawet lata, bo odkrycia proste są zawsze najtrudniejsze.

CZESŁAW BREIT

NEMEZIS I TRZEZWOŚĆ

Kilka lat temu angielski historyk — Wheeler-Bennet opublikował książkę pt. „Nemezis władzy”, w której nakreślił rolę armii w polityce niemieckiej w latach 1918—1945. Autor przedstawia tę rolę jako zgnębłą. Kończyła się haniebnymi klęskami pod względem wojskowym, politycznym i duchowym. „Nemezis” oznacza sprawiedliwy odwet, który u Greków awansował do symbolu bogini. „Nemezis” mści się za ludzkie zbrodnie.

Niepomne nieszczęście jakie spowodowała zawsze polityka armii na naród, niektóre kręgi zachodnio-niemieckie wypisują znów na swych sztandarach „Nemezis”. Szukają poparcia dla swych planów, które nie mają wspólnego ze sprawiedliwością, za to dużo z odwetem.

Rozzuchwaleni odwetową atmosferą, która rozkwitła w NRF, generalowie Bundeswehry postanowili oficjalnie wyłożyć swe polityczno-militarne credo. Uczynili to kilka dni temu w memoriale, którego autorstwo przypisuje się viceadmirałowi Ruge — pełniącemu aktualnie funkcję zastępcy generalnego inspektora armii Heusingera. Memoriał powtarzając główne tezy polityki imperialistycznej żąda wyposażenia Bundeswehry w broń nuklearną. Jest on pierwszą poważną ingerencją generałów w sprawy polityki, przypominającą i niemal nawiązującą do postępowania dawnej Reichswehry.

Musi niepokoić, że memoriał został opublikowany zaledwie w cztery lata po przyjęciu Soldatengesetz, stanowiącej legalną bazę dla nowej Bundeswehry, ustawy, która miała rzekomo ochronić armię przed ponownym stanieniem się państwem w państwo. Ta bezpośrednia ingerencja soldateski w sprawy polityczne, jeszcze raz dowodzi, w jak wysokim stopniu NRF stała się wyjątkowo agresywną polityką militarną. Jakże szybko, zakazany Układem Poczdamskim, a odrodzony na nowo — niemiecki sztab generalny, przekreśla uroczyste zobowiązania, które nałożył na siebie niedawno rząd NRF.

Na tle rozwoju sytuacji w Niemczech zachodnich, odpowiedzi członków NATO na notę polską w sprawie naszej granicy na Odrze i Nysie, brzmią co najmniej platonicznie. Unika się w nich poruszenia istotnych spraw, pomija się milczeniem zasadnicze fakty.

Odpowiedzi państw — członków NATO, mimo, że są podobne do siebie — zawierają przecież pewne różnice płynące z sytuacji poszczególnych rządów. Tak więc rząd USA stwierdza, że NRF „nie uzyskała pomocy ze strony swoich sojuszników z NATO w forsowaniu żądań terytorialnych”. To amerykańskie stwierdzenie należy chyba zawdzięczać zbliżającym się wyborom, w których wzmnie przeciw udziałowi kilku milionów głosów pochodzenia polskiego. Nota francuska przypomina i potwierdza już dawniej stanowisko o nienaruszalności i ostatecznym charakterze naszej zachodniej granicy. Wydaje się, że znajduje w tej notcie wyraz zaniepokojenia dość kłopotliwym, a zarazem niebezpiecznym sojusznikiem jakim dla Francji jest NRF.

Obok nurtu oficjalnych wypowiedzi na notę polską, płynie nieoficjalny — nie mniej dla nas ważny. Wypowiada się opinia publiczna.

Dość znamienne jest oświadczenie np. Peter Kirka — posła brytyjskiej partii konserwatywnej, człowieka afiszującego się swymi dobrymi uczuciami wobec Niemców (zachodnich). Ostatnio opublikował on w jednym z pism zachodnio-niemieckich artykuł, w którym czytamy: „Przytaczająca większość narodu brytyjskiego, uważa granicę na Odrze i Nysie za ostateczną. Naród nasz nie ruszy nawet palcem, by pomóc w zmianie tej granicy... My, w Anglii, nie jesteśmy skłonni brać pod uwagę możliwości wybuchu wojny światowej. Uważamy przeto, że znajdujemy się wobec faktu dokonanego, odnośnie którego nic już nie można zmienić”.

Jedynym naszym życzeniem jest, by rząd angielski liczył się w swym stanowisku politycznym więcej z opinią swego narodu niż z niemieckimi odwetowcami. Podobne życzenie wypada nam adresować do innych państw — członków NATO.

ADAM STANIEK

Pewien czeski kompozytor, który z rodziną przyjechał do Ustronia Morskiego i zamieszkał w domu ZAIKS — biadał, że dom jest źle wyposażony, że nie ma wody w pokojach, że w ubikacjach także często jej brak, że w ogóle dzieci się wydzierają w dzień, a sąsiadująca z domem knajpa z orkiestrą i śpiewkami — w nocy. W nocy zresztą młodzież wracająca z lasu, znad morza, z zabaw, ze schadzek — manifestuje swoją obecność dość głośno, jak na małą osadę bez bieżącej wody. Ale czymże są takie kłopoty zagranicznych gości, wobec tego co się tu w okolicy wyprawia w dziedzinie budowania.

Powiedziałem żartobliwie „wyprawia” ponieważ rozmach, jaki spotyka się w miastach nadmorskich, w Koszalinie, Szczecinie, ostatnio także w Kołobrzegu i innych jest zgoła fascynujący. Po latach posuchy budowlanej, kiedyś myśleli odbudowywać tyle innych, ważniejszych wtedy dla nas miast, przyszła kolej i na te, odległe od stolicy ośrodki. Dziś, kto przechodzi po raz pierwszy schłodnionymi ulicami Koszalina, kto raz po raz potyka się niemal o nowe bloki, kto w Kołobrzegu siada na statek wycieczkowy, aby sobie pochorować na szych falach, kto widzi ów kurz wznoszący się nad ruinami, których ostatnia godzina wybiła — musi odczuwać coś, co się nazywa potocznie zadowoleniem. Polska jest krajem przedziwnym, nazywamy ją „placem tysiąca budów”. W tym roku, ponieważ ciągle deszcze i brak słońca, wędrowaliśmy odrobinkę więcej po kraju, szczególnie naszych Ziemiach Odzyskanych, zachodnich i północnych i wszędzie, dosłownie wszędzie — spotykałem budowy.

W Kołobrzegu zaczyna się coś z dawnego eposu pierwszych lat, kiedy międzynarodowe brygady zjeżdżały się do Polski, a polskie w zamian — pomagały sąsiadom. Miało to charakter czysto symboliczny, ale przecież budowaliśmy tak wiele! Sam brałem udział w takiej brygadzie, budowaliśmy linię kolejową w górach Słowacji, w Polsce zaś pracowały brygady z tamtego kraju. Było to ładne i przyjacielskie. Do Kołobrzegu zjeżdżają znowu grupy różnorodnej młodzieży, i to zróżnicowane, nagle zaczyna się odmiennie, nabiera kolorów. Już teraz poczyniono pierwsze prace, park jest pełen klombów i latarni, czystościutki alejki prowadzą do domku nazwanego „Morskim okiem”, domek jest zrobiony z blachy falistej, tektury, drzewa, prymitywnie, ale bardzo gustownie. Ma olbrzymią jadalnię, taras, orkiestrę która przygrywa już od obiadu, ma także obrzydliwie aroganckie kelnerki jako niezbędne uzupełnienie całości.

BOHDAN DROZDOWSKI

M A R E NOSTRUM

Całe kwatery krzaków i zielsk porastających miejsca, na których kiedyś stały domy — zostają zwolna wycinane, i za kilka lat Kołobrzeg stanie się kurortem o międzynarodowym powodzeniu. Sanatoria, domy wypoczynkowe, drogie zdrowie, odpoczynek — te wszystkie rzeczy i stany będą się tu mieścić w zgodnej symbiozie z morzem, czasem chyba też słońcem, bo trudno uwierzyć, aby zawsze padał deszcz.

Kołobrzeg ma w naszej najnowszej historii tę kartę szczególną, że tu właśnie po latach oderwania od ojczyzny — stopy polskich żołnierzy dokonały zaślubin z Bałtykiem. Nie wiem czy się dobrze wyraziłem mówiąc, że stopy dokonały zaślubin, tam podobno jedna żołnierz (czy mówi się żołnierka?) wrzuciła do wody swój pierścienek. Zanotowały to stare kroniki, w telewizji zaś ta kobieta — dziś jak się zdaje wysoki oficer WP, — niedawno wystąpiła razem z innymi żołnierzami, którzy zdobywali Kołobrzeg w rzeczywistości wyczerpujących bojach.

Mijają lata, mijają wspomnienia. Na latarni morskiej w Kołobrzegu postawiono małą armatkę przeciwpancerną i karabin maszynowy typu Maxim. Są pomalowane na zielono i szczerzą swoje lufki wzdłuż plaży. Wyglądają z dołu jak dziecinne zabawki, przechodzący chłopcy zatrzymują się, pokrzykują, mają ochotę wbiec tam i dotknąć ich. Ludzie starsi przypatrują się temu, uśmiechają i odchodzą.

Jest coś w morzu, w jego szumie, w samej bliskości, co zniechęca, co każe zachowywać się, myśleć inaczej. Właśnie na horyzoncie pojawił się trójmasztowy żaglowiec. Jak duch, jak zjawia, bezszelestnie dokonywał zwrotów i manewrował żaglami. Niewidoczni z tej odległości marynarze zwiłali i opuszczali żagle, statek ustawił się wreszcie burtą do słońca i z szarego motyla nagle stał się złoty. Wieść o żaglowcu rozniósł się jakimś niepojętym sposobem, nikt nie wołał, nie machał rękami a po chwili całe moło, betonowy klin wbił się w morze — zaroilo się od ludzi, którzy osłaniali rękami oczy, podnosili dzieci, patrzyli wzrokiem zamyślnym, może tęskniącym. Tam właśnie jest symbol przestrzeni i wielkości świata, ten żaglowiec, niczym „Santa Maria” Kolumba, miał dla tych widzów coś z bajki i coś z marzenia. Na jego spotkanie wypłynął stateczek pilota, cieszyliśmy się, że żaglowiec przybije do portu (zrzuconego jeszcze, ale już pogłębianego) i będziemy mogli z bliska nasycić oczy jego widokiem. Ale nie. Zrobił szeroki łuk, i odpłynął. Długo jeszcze był widoczny, szarzał, malał, stąpił się z niebem, szarym jakoś w oddali, wreszcie znikł i nikt już nie wierzył, że był tu kiedykolwiek. W jego absolutnie cichym ruchu było coś nie z tej epoki, sama historia, przeszłość.

Kiedy wracałem do Krakowa, mając w oczach to wszystko czym odżywiają nasze północne miasta nadmorskie — dziwnym, ale przecież chyba zrozumiałym sposobem — najwięcej ciepła odstąpiłem tamtemu żaglowcowi, który w mój dżdżysty i chmurny urlop wniósł tę odrobinę przestrzeni i zupełnego uspokojenia.

T E L E G R A M Y

■ Kongo w dalszym ciągu jest przedmiotem zainteresowania całego świata. Wojska rządowe zajęły prowincję Kasai i stanęły nad granicą Katangi. Marionetkowy premier Katangi Czumbe zapowiada zbrojny opór. Wojska belgijskie opuszczają już Katangę. Premier Lumumba zapowiedział rozpoczęcie działań przeciwko Katandze.

■ Delegacja Kuby opuściła salę obrad konferencji Organizacji Państw Amerykańskich w San Jose. Nastąpiło to w wyniku uchwały przyjętej przez konferencję pod naciskiem USA rezolucji zabraniającej kerzystania z pomocy ZSRR i ChRL.

■ W Jordanii w Ammanie został dokonany zamach bombowy, którego ofiarą padł premier Madza-

ll. W związku z zamachem Jordania zamknęła granicę z Syrią.

■ Kuba i Koreańska Republika Ludowa podpisały umowę o wymianie kulturalnej. W przygotowaniu podpisanie umowy o wymianie handlowej.

■ Memorandum sztabu Bundeswehry domagające się wyposażenia armii w broń atomową zostało w pełni zaakceptowane przez Adenauera. Memorandum opracowywał szef sztabu operacyjnego hitlerowskiego Wehrmachtu — Heusinger oraz inni byli hitlerowcy.

■ Wicekanclerz NRF Erhart na zjeździe uchodźców w Duesseldorfie w bezczelnym rewizjonistycznym wystąpieniu domagał się zwrotu ziem zachodnich i północnych oraz poznańskiego. To rewizjonistyczne wystąpienie

wicekanclerza spotkało się z ostrą krytyką prasy francuskiej i angielskiej.

■ W USA został opublikowany raport z którego wynika, że Stany Zjednoczone intensywnie pracują nad udoskonaleniem i stworzeniem nowych broni chemicznych i bakteriologicznych.

■ Okręt podwodny USA „Seadragon” o napędzie atomowym przepłynął pod lodami i przebił się na powierzchni w rejonie bieguna północnego.

■ Jak oświadczył przewodniczący komisji badań kosmicznych Izby Reprezentantów USA — Overton Brooks, Stany Zjednoczone dopiero w 1966 będą w stanie wystrzelić na orbitę pojazd kosmiczny o takiej wadze jak pojazd kosmiczny ZSRR.

BRZEMIEŃNE BRZEMIE

„Kongo w żadnym wypadku nie było brzemieniem dla białego człowieka, aczkolwiek Belgowie lubili mówić o 80 latach poświęcenia dla modernizacji Kongo. Wiedzieli oni równocześnie, że kolonia była źródłem ich bogactwa”.

New York Herald Tribune

EKSPIACYJNY KWITEK I BEZCZELNOŚĆ

„Zaujemy do głębi tego wszystkiego, co wydarzyło się w owej najciemniejszej epoce historii niemieckiej, ale nie możemy także przejść do porządku dziennego nad bezprawiem, jakie po roku 1945 spotkało Niemców na wschodzie”.

Z przemówienia m. in. NRF, Erharda

OBY!

„Kennedy forsuje nowe odważne idee, które zmieniają oblicze Stanów Zjednoczonych po okresie rozczarowań i porażek jakie przyniosła era rządów republikańskich”.

Komentarz AFP

DYSKUSJA UCIĘTA

„Zasługuje na podkreślenie, że rząd francuski nie zmienił swego wcześniej sformułowanego stanowiska popierającego definitywne uznanie granicy na Odrze i Nysie. Dyskusja wokół linii Odra i Nysa... została obecnie definitywnie ucięta”.

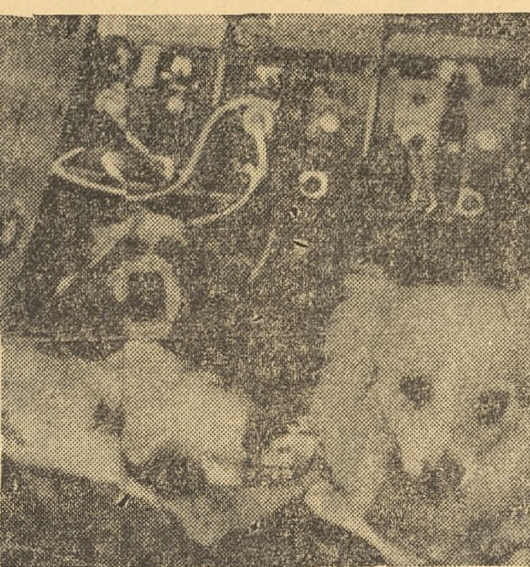
Koelnische Rundschau

NAJBOCEJ I NAJCIKAWIEJ

W wypadku lotniczym w okolicach Gniewa (woj. gdańskie) zginęło 6 osób członków ekipy dokonującej pomiarów zasięgu wód powodziowych.

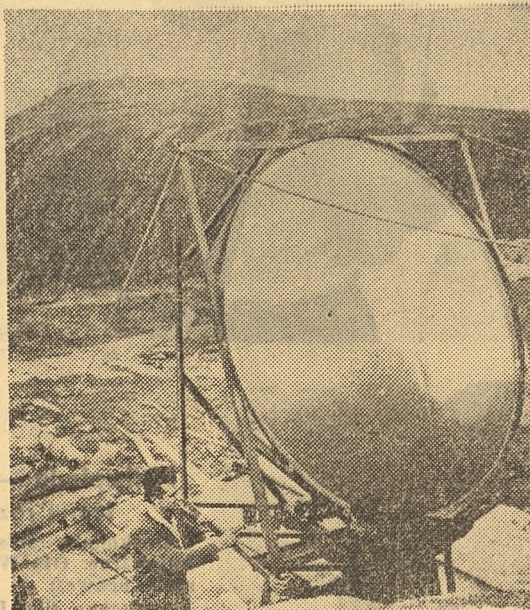
60 tys. ludzi zatrudnia energetyka w naszym kraju. Obecne zużycie energii elektrycznej wynosi na głowę na 1 mieszkańca w Polsce 837 kWh, w roku 1938 wyniosło zaledwie 114 kWh.

3 letni chłopczyk z Sosnowca odbył półgodziny spacer między niebem a ziemią w śnie luncytnym. Młodociany luncytny jest przedmiotem badań lekarzy.



Bielka i Strielka

Bohaterowie wielkiej podróży kosmicznej Bielka i Strielka w kabine, w której odbyły lot i wylądowały szczęśliwie na Ziemi.



Olimpiada

Dzięki przekątnikowej stacji telewizyjnej nad Śnieżyną i Koflami oglądamy transmisje z Olimpiady.



Elektryfikacja

W 1960 r. blisko 96 tys. wsi otrzyma światło. Elektryfikacja wsi Ososo w woj. poznańskim.

TO BYŁO 21 LAT TEMU

Kiedy 2 września o godzinie 3 nad ranem, dyżurny radio telegrafista bazy morskiej Polskiej Marynarki Wojennej wystukiwał depeszę dla dowódcy ORP „Wicher”, nikt nie przypuszczał wtedy, że od tego momentu rozpoczyna się ostatni etap działalności tej jednostki.

W kilka minut później, załoga polskiego niszczyciela wykonując rozkaz swego dowództwa, rzuciła już cumy przy nabrzeżu portu wojennego na Helu. Tutaj miało dokonać naprawy turbin uszkodzonych poprzedniego dnia w czasie jednego z nalotów niemieckich bombowców. Niestety mechanicy nie przystąpili już do pracy. Ciągłe naloty odwróciły ustalony poprzednio porządek. Przede wszystkim należało pomyśleć o usunięciu z pokładu wszelkich niebezpiecznych ładunków, których nie brakowało na „Wicherze”. Przed wyjściem z Gdyni załoga załadowała 40 bomb głębinowych o wadze 200 kg materiału wybuchowego każda, oraz 6 w pełni uzbrojonych torped. W

JAK [2]

ZATONAŁ

O.R.P.

„WICHER”

sytuacji w jakiej znalazł się „Wicher” całe to „gospodarstwo” mogło w każdej chwili wylecieć w powietrze, niszcząc nie tylko okręt, ale wszystko co znajdowało się w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Aby nie dopuścić do tego dowódca okrętu kmdr Dewalden polecił rozbroić torpedy i zatopić je.

Do pracy przystąpili torpedominerzy. Jedni rozbrajali torpedy inni zajęli się bombami. Z niesłychaną ostrożnością, milimetr po milimetrze odkręcano głowice. Ludzie zamienili się w słuch. Każdy warkot przypominający odgłosy samolotu potęgował zdenerwowanie. W każdej chwili mogli nadlecieć Niemcy. Tym razem jednak sprzyjało szczęście marynarzom. Luftwaffe uspokoiło się jak na zamówienie.

Wreszcie zakończono te niebezpieczne prace. Nie koniec jednak na tym. Dopiero teraz miało nastąpić najważniejsze. Torpedowe głowice należało ulokować w szalupach, wywieźć na morze i zatopić. Ponieważ przedsięwzięcia tego typu należą do niezwykle ryzykownych, wśród załogi poszukiwano 2 ochotników. Zgłosił się tylko jeden. Drugi wyznaczony nie kwapił się do wykonania polecenia. Przemówił dopiero argument jaki stosuje się w czasie działań wojennych. Marynarz odprowadzany oczami kolegów, pod groźbą — użycia broni wsiadł do szalupy. Spokojne uderzenia wiosel oddalały niebezpieczeństwo. Łódź odholowana na znaczną odległość poza teren portu, została zatopiona wraz z całym ładunkiem. Od tego momentu „Wicher” przestał się liczyć na morzu jak

groźny niszczyciel. Ale marynarze to naród uparty. Jeśli nie można walczyć z okrętem na morzu postanowili bronić się w porcie. O tych chwilach tak opowiada szef działu broni podwodnej „Wichra” — Bolesław Wójcik:

— Na rzucone hasło, cała załoga przystąpiła do organizowania czegoś, co dzisiaj nazwałbym prymitywną obroną przeciwlotniczą. Z kutrów wojennych, które załogi pozostawiły na łasce losu, zabraliśmy kilka ciężkich karabinów maszynowych ustawiając je na lądzie obok naszego okrętu. W ten sposób 2 września około 8 rano mieliśmy w połączeniu z artylerią „Wichra”, wcale nieźle zorganizowaną obronę przeciwlotniczą. Każdy ktokolwiek znalazł się choć trochę na strzelaniu, otrzymał odpowiednio zadanie. Jednym przydzielono do obsługi karabinów, artylerzyści pozostali przy działach, dla kogo tu nie starczyło miejsca taśmował amunicję. Takie prace wypełniły spokojny na ogół dzień 2 września.

Następnego dnia niebo nad Hellem przysłoniły cienie niemieckich skrzydeł. Co 15 minut ryczały alarmowe syreny. Nieprzyjaciel po przerwie nabrał jak gdyby drugiego oddechu. O 5 nad ranem do działań lotnictwa przyłączyły się jednostki Kriegsmarine.

Akurat świtało. Pełniący wachtę marynarz zauważył na pustych dotychczas wodach Bałtyku 2 sylwetki niemieckich niszczycieli. Czym prędzej skierowano w ich stronę armatnie lufy ORP „Wicher”. Niemieckie jednostki szły jednak pełną parą w stronę portu, widocznie były doskonale poinformowane o stanie w jakim znajdują się polskie okręty. Zawiedli się jednak. Zaledwie podeszli bliżej, zagrzały polskie działa. Salwa została celnie ulokowana. Jeden z niszczycieli zaczął dymić. Drugi natomiast okrążył go stawiając w czasie drogi dymną zasłonę. Manewr ten, jak się później okazało był zupełnie niepotrzebny. Z dwu niemieckich niszczycieli odszedł od Helu tylko jeden — drugi powędrował na dno.

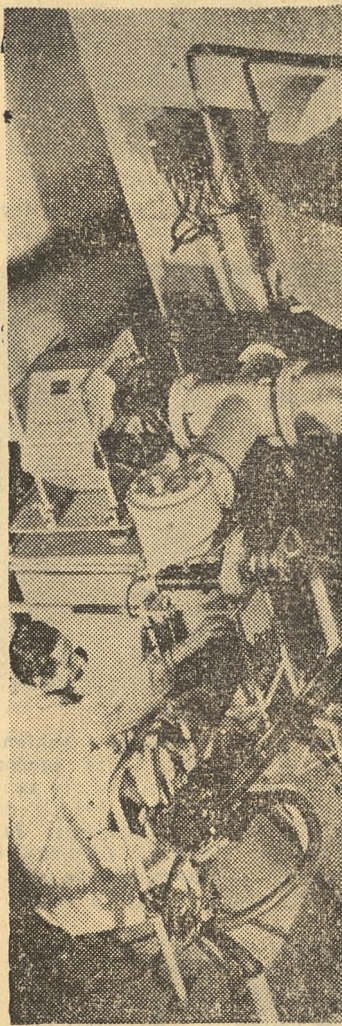
W odpowiedzi Niemcy rozpoczęli wściekłe ataki lotnicze. 3 września od godz. 9 rano naloty następowały jeden po drugim. Samoloty wisiły dosłownie bez przerwy nad okrętami, syjąc na nie setki bomb. Pierwszy zostaje trafiony „Gryf”. Silna eksplozja na pokładzie w części dziobowej, okazuje się śmiertelna. Jest wtedy godz. 10. „Wicher” natomiast, broni się jeszcze zaciekle przez 5 godzin. Dokładnie o godz. 15.13 przy samej burcie pękają 2 bomby lotnicze. Na dziób tuż koło maszynowni — spada trzecia, wyrywając dziurę o powierzchni około 4 m². Buchnął strumień wody do maszynowni. Pod jej ciężarem „Wicher” przechylił się niebezpiecznie na prawą burtę. Tego naporu nie wytrzymały cumy. Grube liny pękły jak cienkie sznurki. Na pokładzie są zabici i ranni. Ciężko rannym zostaje drugi oficer artylerii — krakowianin — Mamak. Obok niego z poobrywanymi rękami i nogami leży kilkunastu marynarzy i oficerów.

W tej sytuacji zaprzestano obrony „Wichra” wszyscy natomiast rzucili się z pomocą rannym. Z minuty na minutę „Wicher” przechyla się coraz bardziej. Ciężko rannego na rufie radio-telegrafistę wynosi na swych barkach kmdr. Dewalden. Ktoś przytomny biegnie jeszcze do maszynowni aby w ostatnich sekundach przed groźącym okrętem niebezpieczeństwem, wypuścić parę z kotłów, które w tym czasie znajdowały się pod pełnym ciśnieniem.

Mimo rozpaczliwych wysiłków nie dało się już uratować ciężko okaleczonego okrętu. Zanim wybiła godz. 15.30 „Wicher” spoczął na dnie Bałtyku. Ale marynarze, mimo zatonięcia okrętu, nie schodzą z pola bitwy. Część artylerzystów wędruje do obsługi dział baterii nadbrzoźnych, reszta natomiast, z karabinem w ręku, walczy na pierwszych liniach frontu w Juracie i innych nadmorskich miejscowościach polskiego wybrzeża.

PRZEMYSŁAW MARCISZ

KRAKÓW ATOMOWY



WSPÓLPRACA Z CAŁYM ŚWIATEM

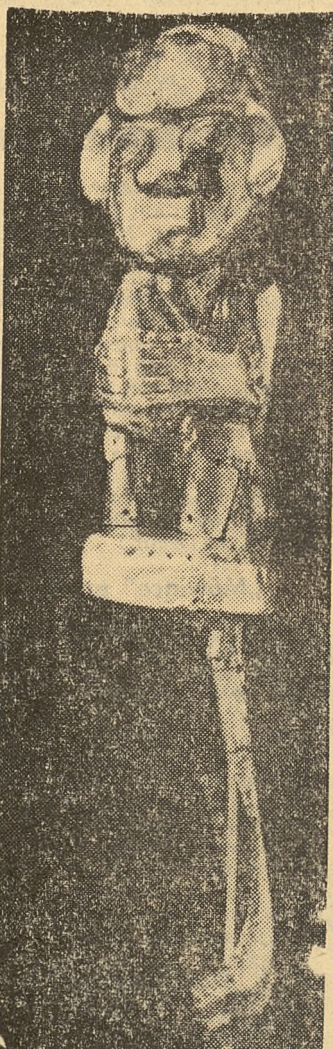
Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda zwyczajnie: dwa okazałe gmachy, basen chłodniczy z fontanną. Uwagę zwracają tylko kopulaste budowle podobne kształtem do gniazd termitów. Służą one do przechowywania substancji promieniotwórczych, jak również ich odpadów.

Główny, trójskrzydłowy budynek, spięty niewykończonym jeszcze „corbusierowskim” w charakterze elementem środkowym, gdzie mieścić się będzie audytorium, kryje w swym wnętrzu pomieszczenia dyrekcji, administracji, bibliotekę z czytelnia, warsztaty, a przede wszystkim pracownie naukowe. W oddzielnym budynku zainstalowano duży cyklotron, w odróżnieniu od małego, przeniesionego tutaj z Instytutu Fizyki UJ.

Zanim to wszystko zwiedzę, chwilę rozmowy poświęca mi ze swego pracownego dnia prof. HENRYK NIEWODNICZAŃSKI, dyrektor Ośrodka.

Przełomowym rokiem dla losów polskiej atomistyki jest rok 1955, w którym powstał Instytut Badań Jądrowych oraz zapadła decyzja skorzystania z radzieckiej propozycji dostarczenia Polsce reaktora jądrowego oraz cyklotronu. Oba te urządzenia czynne są już od dwóch lat, a mianowicie reaktor w Swierku pod Warszawą, z cyklotron w Krakowie. M. in. dzięki nim dotrzymujemy kroku w rozwoju fizyki jądrowej w skali światowej.

PAŃSTWO SPRZED MILIONA LAT?



Rzeźba małpy w kamieniu, pochodząca sprzed 3 tysięcy lat przed naszą erą.

Gdy Indianin szukał żony...

Kilka lat temu, ubogi Indianin ze szczepu Piro, mieszkający nad północnym brzegiem tajemniczego jeziora Titicaca w Peru, stracił cały majątek — żonę Indiankę z plemienia Michiguenga. Zrozpaczony wyruszył na wschód szukając siedzib mało-znanego plemienia żony, do którego prawdopodobnie zbiegła. Po kilku tygodniach marszu, przeszedł niskie góry i u źródeł dwóch nieznanymi rzek, znalazł wspaniałą kamienną drogę. Droga zaprowadziła go do pustego, kamiennego miasta. Miasto było pełne wspaniałych ulic, placów, domów, pałaców i świątyń. Dżungla podchodziła pod samo miasto, nie mogąc jednak zniszczyć murów i wież obronnych. W niektórych wieżach lśniło białe światło. Przerażony ogromem miasta i pustką, Indianin wrócił do swej wioski i opowiedział o swoim odkryciu. Wiadomość doszła do Limy do dr Daniela Ruza, profesora archeologii miejscowego uniwersytetu.

Miasto pogrzebane w sercu „zielonego piekła”

W 1958 r. grupa archeologów pod kierunkiem Amerykanina prof. George Hunt Williamsona, zgodnie ze wskazówkami prof. D. Ruza, rozpoczęła badania archeologiczne. Jako pierwszy etap pracy wyznaczono zbadanie wzgórza Marcahuasi Plateau w Andach. Williamson, chciał bowiem uzyskać potwierdzenie swojej hipotezy, że przed 25.000 laty, równoległe z Imperiami Atlantydy i Mu, istniała trzecia wielka cywilizacja. Nie była to kolonia, lecz

„ZDARZENIA”

odwiedzają
krakowski Ośrodek
Fizyki Jądrowej

Krakowski Ośrodek Fizyki Jądrowej utrzymuje stałą współpracę i wymianę pracowników naukowych ze Związkiem Radzieckim, większością krajów europejskich oraz Stanami Zjednoczonymi A. P. Trzeba podkreślić, że nasi naukowcy są bardzo wysoko cenieni za granicą.

PRACOWNIE I LABORATORIA

Na zwiedzanie Ośrodka udaje się w towarzystwie sympatycznego, młodego fizyka mgr Bozka.

Odwiedzamy pracownię spektroskopii jądrowej — laboratorium promieni gamma, które bada sposoby rozpadu jąder promieniotwórczych. Laboratorium wyposażone jest w bardzo skomplikowaną aparaturę w skład której wchodzi m. in. tzw. szybkie scyntylatory organiczne i fotopowielacze. Wieloczęściową aparaturę elektroniczną dla tej pracowni wykonano całkowicie we własnym zakresie. Kiedy zwiedzałem Ośrodek, laboratorium wykonywało pomiary dla izotopów tzw. neutrono-deficytowych otrzymywanych drogą lotniczą ze Zjednoczonego Instytutu Badań Jądrowych w Dubnej pod Moskwą.

Laboratorium promieni beta interesuje się mierzaniem energii elektronów.

Do pracowni spektroskopii jądrowej należą również laboratorium wzbudzenia kolumbowskiego jąder atomowych. Celem badań tej pracowni jest zdobycie jak największej wiadomości o poziomach energetycznych w jądrach

(Dokończenie na str. 4)

- „MÓWIĄCE” POŚCIGI KAMIENNE
- INDIANIE Z „ZIELONEGO PIEKŁA”
- O LATAJĄCYCH TALERZACH — DZIWA NA HIPOTEZA

niezależne państwo, często odwiedzane przez swoich sąsiadów z Atlantydy i Pacyfiku. Miasta tego mitycznego Imperium Amazonki, gdy się do nich dotrze, będą napewno starsze niż obecna cywilizacja świata. Należą one do zaginionego kontynentu. Leżą pogrzebane w sercu „zielonego piekła” a nie zostały zatopione jak Mu na Pacyfiku, czy Atlantyda na Atlantyku. Williamson przypuszcza, że miasta o których mówią legendy Indian, nigdy nie były pod wodą. Są napewno doskonale zachowane i bezwzględnie grupują, niezbitę dowody istnienia, zapomniałych białych „Indian”, olbrzymów Paititi.

Cmentarz z mumiami

Na szczycie góry Marcahuasi Plateau, znajduje się dobrze zachowana forteca Inków, wybudowana ok. 1350 r. jako dowód podbicia miejscowych Indian Huanca. Fortecę otaczają groby żołnierzy, kompletnie jednak obrabowane przez Hiszpanów, szukających złotego metalu. Hiszpanie fortecę zdobyli w 1550 r., mordując całą załogę wojskową i miejscową ludność cywilną. Williamsonowi, już po kilku dniach udało się odkryć, nie obrabowany cmentarz cywilny, położony o kilkaset metrów wyżej, w zamaskowanych pieczarach. Groby zawierały, niezliczone tysiące mumii kobiet, mężczyzn i dzieci, wspaniale zachowane, odziane w cudnie tkane, barwne tkaniny. Przy mumiach leżały wyroby ozdobne i użytkowe, z precyzją wykonane przez ówczesnych rzemieślników.

(Ciąg dalszy na str. 4)

KRAKÓW ATOMOWY

(Dokończenie ze str. 3)

atomowych. Tematyka tych badań jest niezwykle aktualna i współczesna. Zajmują się nią obecnie produkujące ośrodki atomowe na świecie.

ZASTOSOWANIA W HANDLU PRZEMYSŁE I TECHNICZNE

Poza pracami czysto teoretycznymi, Ośrodek krakowski rozważuje również zagadnienia praktyczne.

Np. Pracownia neutronowa, kierowana przez doc. Janika, oprócz badań nad strukturą materii, w szczególności cieczy i kryształów, posiada osiągnięcia na polu przemysłowych. Opracowano tam metodę oznaczania wilgotności murów.

Rozszerzono również tę metodę w kierunku pomiaru wilgotności surowców włókienniczych, które, jak wiadomo, niezwykle łatwo wchłaniają wilgoć z otoczenia. Wynika stąd potrzeba szybkiej i dokładnej kontroli wilgotności tych surowców, zwłaszcza pochodzących z importu, za które płacimy przecież dewizami.

Jeśli już mówimy o praktycznych zastosowaniach badań Ośrodka, warto wspomnieć o pracowni radiochemicznej, której zadaniem jest m. in. badanie procesu korozji tworzyw metalicznych w warunkach przemysłowych. Wyniki tych prac, stwarzają podstawy dla racjonalnego doboru tworzywa do określonych warunków jego pracy w przemyśle. Pracownia radiochemiczna współpracuje z Komisją Ochrony Tworzyw przed Korozją przy III Wydziale PAN.

Sercem niemal wszystkich, zwiedzanych przeze mnie pracowni i laboratoriów są skomplikowane aparaty elektroniczne, na których współczesna fizyka jądrowa opiera się w swych metodach badań i pomiarów. W Ośrodku, taką aparaturę opracowuje specjalna pracownia elektroniczna.

DUŻY CYKLOTRON

Kierownikiem eksploatacji dużego cyklotronu jest mgr inż. Jerzy Zakrzewski, profesor AGH. Od niego też uzyskuję bliższe dane techniczne dużego cyklotronu. Oczywiście wielkości, będą miały wymowę dla Czytelników nieco obeznanym z fizyką. Charakteryzują one wielkość urządzenia. Otóż deuterony przyspieszone są w cyklotronie do energii 13 milionów elektronowoltów, zaś jądra helu do energii 26 milionów elektronowoltów. Ogólna masa rdzenia żelaznego wynosi 120 t. Moc uzwojenia elektromagnesu wyraża się cyfrą 100 kilowatów, zaś moc generatora wysokiej częstotliwości 120 kilowatów. Liczby te dają pewne pojęcie nawet laikowi.

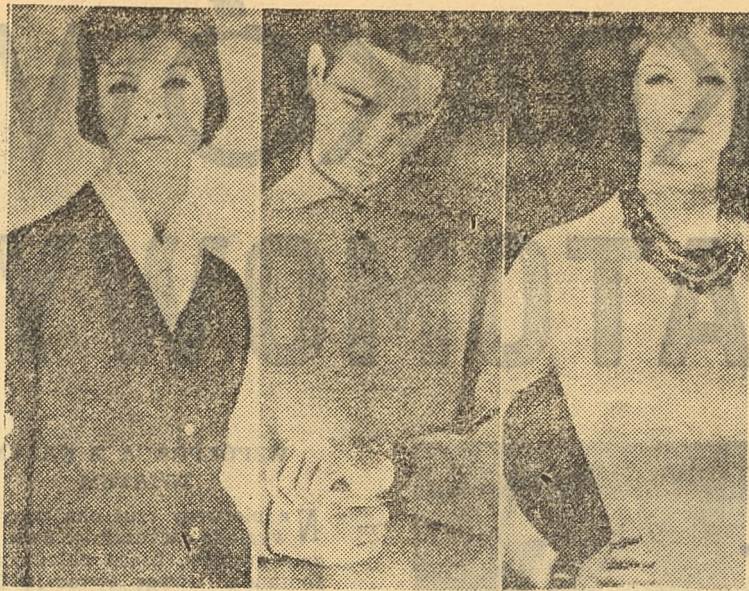
PAŃSTWO SPRZED MILIONA LAT

(Dokończenie ze str. 3)

Dom bogów-gigantów

Wyprawa dotarła następnie na wysokość ponad 4000 metrów i stanęła oczarowana wspaniałym widokiem. Przed nią leżały, olbrzymie, doskonale obrobione, kamienne rzeźby. Archeologowie znaleźli się w miejscu, znanym tylko miejscowym Indianom i zwanym dom „duchów”, „czarodziej”, czy „bogów gigantów”. Płaki, zwierzęta od lwa do słonia i wielbłąda, pingwiny — cała ta fauna, która nigdy nie żyła w Południowej Ameryce, została wyrzeźbiona w gigantycznych rzeźbach. Zwierzęta przedpotopowe i ludzie wszystkich ras świata są reprezentowani w gigantycznym, „Świętym Lesie”. Wiele potężnych głów, przypomina

strona 4

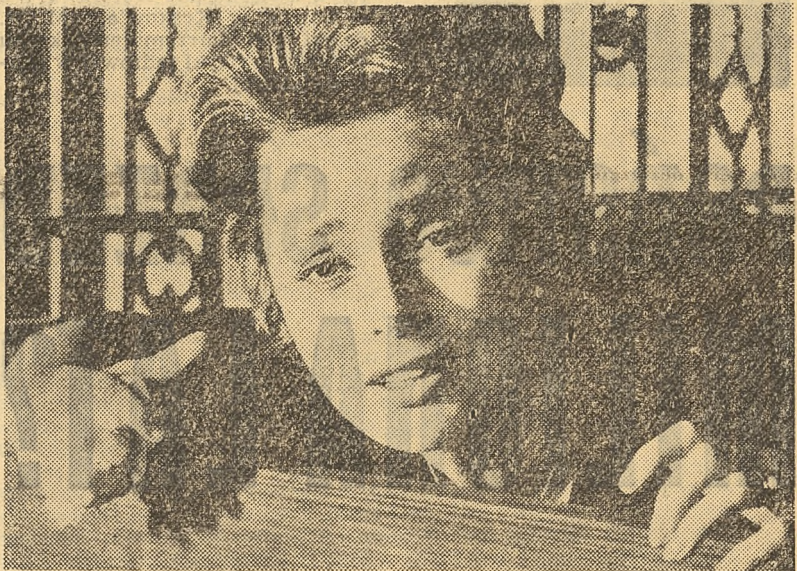


Dla niej i dla niego
Uwaga panie i panowie, modne jest tej jesieni wszystko co z trykotu. Oto foty z „Elle”.



Europejski wygląd za taniocę

Większość młodych Japonki nosi obecnie modne europejskie sukienki. Ale to nie zadawała. Chęć po europejsku wyglądać. Czy można się pozbyć skośnych oczu? Tak, w ciągu 10 minut. Tyle bowiem czasu trwa zabieg kosmetyczny polegający na „podniesieniu” powiek do góry. Dzięki temu są mniej skośne i większe. Ostałoby tysiące Japonki poddaje się takiej operacji upiększającej. Kosztuje stosunkowo mało. Nieco droższe jest powiększenie i przestawienie nosa, również ostatnio coraz częściej w Japonii stosowane. Oto foty. Typowo skośnooka — i ona już po zabiegu.



Ulla Jacobsson, znana u nas z kilku filmów, m. in. z „Ona tańczyła jedno lato” — kręci obecnie nowy film pt.: „W imieniu matki”.

na do złudzenia rzeźby Wyspy Wielkanocnej. Dziesiątki starożytnych religii jest symbolizowanych przez piękne i wspaniałe wykonane sfinksy, twarze i figury zapomnianych bogów i bogiń. Rzeźby mają wysokość od kilkunastu do kilkudziesięciu metrów. Budować je musiała jakaś rasa gigantów, o której mówią legendy czy to Inków czy też obecnych mieszkańców Peru.

Figury o zmiennych twarzach

Niezwykła była technika i kunszt rzeźbiarzy. Proporcje figur są bardzo dokładne. Sensację jednak wzbudziło stwierdzenie, że figury fotografowane czy obserwowane w różnych porach dnia czy nocy, przy świetle słońca czy księżyca, dają za każdym razem inny obraz. Po prostu, każda figura ma kilka wyrazów twarzy. Rano np. widać twarz młodzińca, w południe mężczyzny, zaś pod wieczór mądrego starca. Zdjęcia twarzy innej figury, starca, na negatywie dały obraz zaskakujący — uczeni zobaczyli oblicze, młodego, pięknego i dumnego chłopca. Zdjęcia z powietrza, robione z helikoptera, były już co najmniej dziwne. Lew sfotografowany z góry, dawał obraz lwicy. Kobieta i mężczyzna byli w uścisku miłosnym, czego z dołu nie było widać. Kimże byli ci twórcy rzeźb, czy posiadali pojazdy powietrzne? Archeologowie obiecują dać na to odpowiedź już w tym roku.

Odkryto wiele ołtarzy, budowanych jakby dla gigantów, wzrostu ponad 4 m. Niektóre ołtarze i figury pokryte są nieznanym pismem, hieroglifami, a wiemy, że Inkowie nie znali tego rodzaju pisma. Zwrócono uwagę na dziwne, małe, czarne jezioro z którego wychodzi olbrzymi, kuty w granicie potwór, z epoki przeddyluwialnej. Odnosi się wrażenie, że ta rasa gigantów-rzeźbiarzy, jako modele miała oryginalne, żyjące wówczas zwierzęta. A więc ile setek tysięcy czy milionów lat upłynęło od jej odejścia czy zaginięcia na ziemi?

„Mówiące” posągi

Uczonych ogarnął wkońcu lęk. Stojąc w pobliżu figur, usłyszeli dziwny dźwięk wychodzący jakby ze środka posągów czy ziemi. Dźwięk, jakby dalekich rojów pszczoł, lecz przenikliwy, ścinający krew w żyłach, niepokojący. Nigdy nie milknący. Indianie zapytani o pochodzenie dźwięku, odmówili odpowiedzi. W wyniku badań stwierdzono, że granit z którego rzeźbiono figury zawiera duże ilości kwarcu. Może to jest powodem tych dźwięków, które wydają się „nie z tej ziemi”?

„Skala pisana”

Ekspedycja ruszyła dalej na wschód. Spenetrowano najbardziej dziki kraj od Alto Hadre do Dios River. Szli szlakiem hiszpańskiego uczonego z XVI w. Juana Alwara, który również szukał za-

Jak SIKORSKI ZOSTAŁ PREMIEREM

CZY PO KLĘSCE WRZESNIOWEJ SANACJA ODDAŁA WŁADZĘ BEZ WALKI?

JAKA MIAŁA BYĆ ROLA GENERAŁA SIKORSKIEGO, A JAKA FAKTYCZNIE — BYŁA?

NA PYTANIA TE ODPOWIADAMY W NINIEJSZYM ARTYKULE.

Szosa na Zaleszczyki nie była jeszcze bombardowana. Tłumy uchodźców przewalały się pospiesznie w kierunku granicy rumuńskiej. Rozbitkowie z nieistniejących już oddziałów, cywile objuczeni resztkami nie porzuconego mienia szli piechotą: dostojnicy państwa polskiego — jechali w luksusowych limuzynach wypełnionych po brzegi ratowanym z pożaru ojczyzny dobrem.

W tłumie uciekinierów siedzi dziennikarz, zmobilizowany przed trzema tygodniami do wojska, a później — przeznaczony do specjalnych zleceń Naczelnego Dowództwa. Ale o tym, i stu innych dziennikarzach, Dowództwo zapomniało. Szedł zatem piechotą, czasami tylko przysiadając na skraju szosy, w rowie. Dziennikarzem był Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Nagle tuż obok niego zahamował samochód. Obok jakiegoś oficera siedział postawny mężczyzna w cywili. Dziennikarz usłyszał pytanie:

— Panie redaktorze! Idzie pan do Rumunii?

Strumph-Wojtkiewicz obrócił się. Podszedł do samochodu. Poznał generała Władysława Sikorskiego, generała w stanie spoczynku.

— Melduję się, panie genera-

le.

Mężczyzna w cywili — uśmiechnął się.

— To dobrze. Proszę, tam nie bawić długo. W ciągu 10 dni zamelduje się pan u mnie w Paryżu...

Dziennikarz ten został później „przybocznym” generała Sikorskiego. Od niego wiemy wszystko o targach sanacji, która nie chciała oddać władzy...

NADZIEJE SANACJI NA PARYŻ...

Zarówno rząd Sławoja-Składkowskiego, jak prezydent Mościcki i Naczelnny Wódz marszałek Śmigły-Rydz nie zamierzali, po przekroczeniu granicy rumuńskiej, zrezygnować z władzy. Wojnę przegrali, lecz pozostali sojusznicy — potężna Francja i

Wielka Brytania — którzy przewidywali sanację do Warszawy. Dostojnicy, którzy już w pierwszym tygodniu wojny zdążyli na południe, którzy przekraczali granicę w połowie miesiąca — byli przekonani, że z honorami zostaną przepuszczeni przez terytorium Rumunii, dojdą do Paryża gdzie — rozpoczyna jakby nigdy nie urzędowanie...

Ale nie przewidzieli dwóch rzeczy: że stracili kredyt w społeczeństwie i u sojuszników. Nie mogli także przypuszczać, że...

HITLER LICZY NA LEGALNY RZĄD POLSKI

Niespodzianką zaczęła się zaraz za granicą. Władze faszystowskiego Królestwa Rumunii respektowały teraz nie sojusz z Polską lecz ambasadora niemieckiego w Bukareszcie — pana Fabriciusa. Ambasador III Rzeszy pouczył dokładnie rumuńskiego ministra spraw zagranicznych Gafencu, jak Niemcy rozumieją „neutralność” Rumunii: politycy mają być internowani, a polscy żołnierze i oficerowie rozbrajani i kierowani do obozów dla internowanych. Niemcy nie życzyły sobie zasilenia armii francuskiej wyborowym żołnierzem polskim, który zdobył już olbrzymie doświadczenia w biciu Niemców. A w jakim celu zatrzymano polityków?

Chodziło o odebranie pozorów legalności rządowi polskiemu i — w późniejszym terminie — porozumienie się z internowanymi i stworzenie z nich rządu kolaborantów. Choć internowany, poza granicami Polski, rząd sanacyjny wiedział przez wywiad polityczny, jaki los przygotowują im Niemcy. Gdy stało się jasne, że nie wydestaną się z Rumunii — postanowili oddać władzę w ręce swych kumpi z obozu sanacji. Mościcki skorzystał z przysługującego mu konstytucyjnie prawa, tak zwanej prerogatywy, i zrzekł się urzędu wyznaczając następcę — generała Wieniawę-Długoszewskiego, ówczesnego ambasadora Polski w Rzymie. Dekret ten został przekazany do Paryża i — miał być wydrukowany we wznowionym polskim „Dzienniku Ustaw”.

DO AKCJI WCHODZA FRANCUZI

Czy to było niespodziewane dla sanacji? Raczej spodziewali się sprzeciwów rządu francuskiego i... dlatego chyłkami chcieli przeprowadzić „wybór” nowego Prezydenta. Wybór polegał oczywiście na oficjalnym wydrukowaniu aktu w „Dzienniku Ustaw”. Do akcji weszła francuska policja.

Po prostu francuscy policjanci wkroczyli do drukarni i... skonfiskowali cały nakład oficjalnego wydawnictwa zaprzyjaźnionego państwa! Taką odprawę dostała sanacja: Francuzi wiedzieli, że ich klęska w społeczeństwie polskim jest absolutna — a nie chcieli pozabawiać się potencjalnego sprzymierzeńca, polskiego żołnierza. Poza tym — rząd francuski chciał mieć u siebie taki rząd polski, który będzie mu całkowicie uległy.

(Ciąg dalszy na str. 5)

był w kontakcie z ludźmi z nieba. Legenda o wiecznym białym świetle, na wieżach miasta, o statkach z nieba, lądujących w zamarym mieście i to od wielu lat aż do obecnej chwili.

Zaginione Kamienne Miasto — bazą latających talerzy?

Uczeni po powrocie do Limy, opublikowali swoje prace i postawili zaskakujące hipotezy a mianowicie:

1) posągi kamienne rzeźbiono około milion lat temu.

2) Indianie „zielonego piekła” zesłali do obecnego stanu, na skutek degeneracji wynikłej z powodu zniszczenia Amazońskiego Imperium.

Jest jeszcze jedna, bardzo dziwna, fantastyczna hipoteza:

W gębi Matto Grosso, znajdują się potężna baza UFO (latających talerzy) które ciągle tam lądują, od wieków odwiedzając naszą ziemię. Wracają do swoich miast, w których niegdyś żyli i z których odeszli na skutek jakiegoś kataklizmu. Odciełli w swoich statkach na inną planetę.

Dzieje ekspedycji oraz swoje niezwykłe wnioski, dr. Williams szeroko opisał w dwóch książkach „Secret Places of the Lion” i „Road In The Sky”. Książki mimo naukowej treści, są w tej chwili bestsellerami na Zachodzie. Tłumaczy się je na kilkanaście języków.

opracował

JAN BORUCH

ginionego kamiennego, świętego miasta. Walcząc z dzikimi zwierzętami, gadami i gorączką tropikalną, tnąc maczeta ścieżki w dżungli, uczeni dotarli do znaney z opowiadań Indian, szczepu Machiguenga, „skały pisanej”. Do tarto do nieznanego dzikiego plemienia Indian, które nie znało białego człowieka, żyjąc spokojnie nad rzeką Rio Sinkibena.

„Skała pisana” okazała się głową olbrzyma, pokrytą pasem hieroglifów długości 85 stóp a szerokości 8 i 1/2 stopy. Tysiące obserwacji i pomiarów, utwierdza uczonych, że hieroglify wykute zostały przez bardzo inteligentną i rozwiniętą, starożytną rasę a nie przez ludzi ery kamiennej. Glyfy są w formie podobne do starego pisma Atlantów i Mu. Wydają się być kroniką leżącego już gdzieś niedaleko „Zaginionego Kamiennego Miasta”. A może glyfy są najstarszym językiem świata? Głowa olbrzyma zwrócona jest na wschód i prawdopodobnie pokazuje kierunek Zaginionego Miasta, którego kapłani-uczeni, ważne zdarzenie historyczne utrwaliли w kamiennym rzeźbie skalnej.

Legends o potopie i katastrofie świata

Pora deszczowa zmusiła ekspedycję do odwrotu. W najbliższym suchym roku badania będą kontynuowane. Spisano trochę legend, i o dziwo, znowu historia potopu i katastrofy świata, który

JAK SIKORSKI ZOSTAŁ PREMIEREM

(Dokończenie ze str. 4)

Paryż wybrał generała Sikorskiego. Myśleli, że skoro nie udawała się ich polityka rządu Polską w imię interesów Francji rękami sanacji — uda się to im za pomocą rąk przeciwnika sanacji generała Sikorskiego. Zawiedli się na tych rachubach srogo...

OBRONA GRENADY...

Sanacji nic nie wyszło z mianowania gen. Wieniawy-Długoszewskiego; postanowili zacząć z innej beczki. Tym bardziej, że Mościckiego odwiedził ambasador polski w Bukareszcie, Roger Raczyński i zaproponował, żeby prezydentem mianować kardynała Hlonda, lub — kogoś innego, lecz pozytywnego, w pojęciu Francuzów. Sanacja wybrała Władysława Raczkiewicza, który formalnie był członkiem ugrupowania przeciwnego sanacji, jednak faktycznie popierał jej politykę. Jego przychylny stanowisko wobec Francji było powszechnie znane. Zatem Francuzi mieli Prezydenta, który im odpowiadał, mieli także premiera — generała Sikorskiego.

Tym razem policja francuska nie skonfiskowała „Dziennika Ustaw”. Jednak i z tymi decyzjami były kłopoty: Smigły-Rydz — „legalny” Naczelny Wódz — nie chciał oddać marszałkowskiej buławy. Dopiero w miesiąc po opuszczeniu Polski podał się do dymisji; Naczelnym Wodzem został generał Sikorski.

Dlaczego Smigły-Rydz tak zarządzie bronił swojej pozycji? Czy jako pokonany dowódca miał cień złudzenia, że żołnierze będą go darzyli zaufaniem? Albo oficerowie, którzy nie mogli się z nim podczas Kampanii Wrześniowej dogadać, którym wydawał co godzina sprzeczne ze sobą decyzje? Jest jedno tylko tłumaczenie tego faktu: to sanacyjna siła liczyła na późniejsze, ponowne uchwycenie władzy, gdy nawinie się po temu możliwość. A możliwość można było łatwo stworzyć: za granicę Polski uciekł cały sztab „dwójki”, która umiała zrobić nie jedną taką robotę...

Tak doszło do zmiany rządu. Lecz Francuzów od razu czekała niespodzianka. Generał Sikorski składa w Londynie memoriał, w którym stwierdza konieczność porozumienia się sojuszników z ZSRR i wciągnięcia Kraju Rad do koalicji antyhitlerowskiej...

Ale Anglii nie byli jeszcze przekonani o potrzebie takiego kroku: jeszcze czekała ich Dunkierka i pokora Francji, chylącej się przed Hitlerem, a dopiero później — konsultacje z rządem radzieckim. Nie należy to jednak do tematu, uzupełnia jednak sylwetkę generała Sikorskiego, którego francuskie ministerstwo spraw zagranicznych chciało widzieć marionetką. Później, później woleli już starych „przeciwników” — Sikorski działał zbyt zdecydowanie w interesie Polski, nie liczył się z życzeniami ludźmi, którzy chcieli być jego mocodawcami...

KRZYSZTOF ADAMSKI
ANDRZEJ CZARSKI



Jakże częsty i tragiczny obrazek na naszych wsiach — skutek barbarzyńskiej napaści hitlerowskich hord.

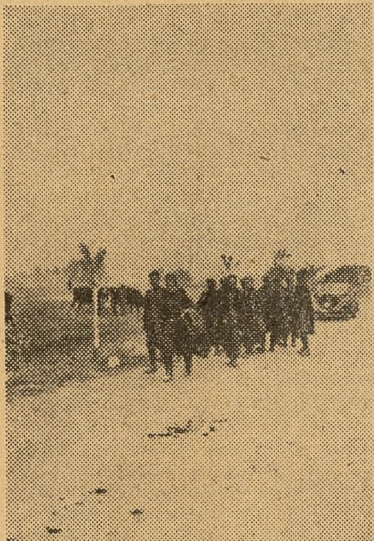
OTO PARĘ ORYGINALNYCH FOTOGRAFII Z TRAGICZNYCH DNI WRZEŚNIA 1939 — ZNALEZIONYCH U HITLEROWCA



Konwój ludności cywilnej przez hitlerowskiego żołdaka.



Czy komentarz potrzebny? Grupa skazanych Żydów przygotowująca swój grób...



Na zaleszczyckiej szosie...

LODÓWKA WOŁCZKA

MGR WOŁCZKA

Większość projektów rakiet kosmicznych rozbija się o niemożność operowania bardzo wysokimi temperaturami, przy których wszelka substancja błyskawicznie zamienia się w parę.

W gronie polskich astronautów znalazł się człowiek, który postawił problem na głowie. Czasami taka operacja się udaje. Na razie rozbudziła zaciekawienie sfer naukowych, które dowiedziały się o niej z ust referenta na VIII Międzynarodowym Kongresie Astronautycznym w Barcelonie. A referentem był mgr Olgierd Wołczek.

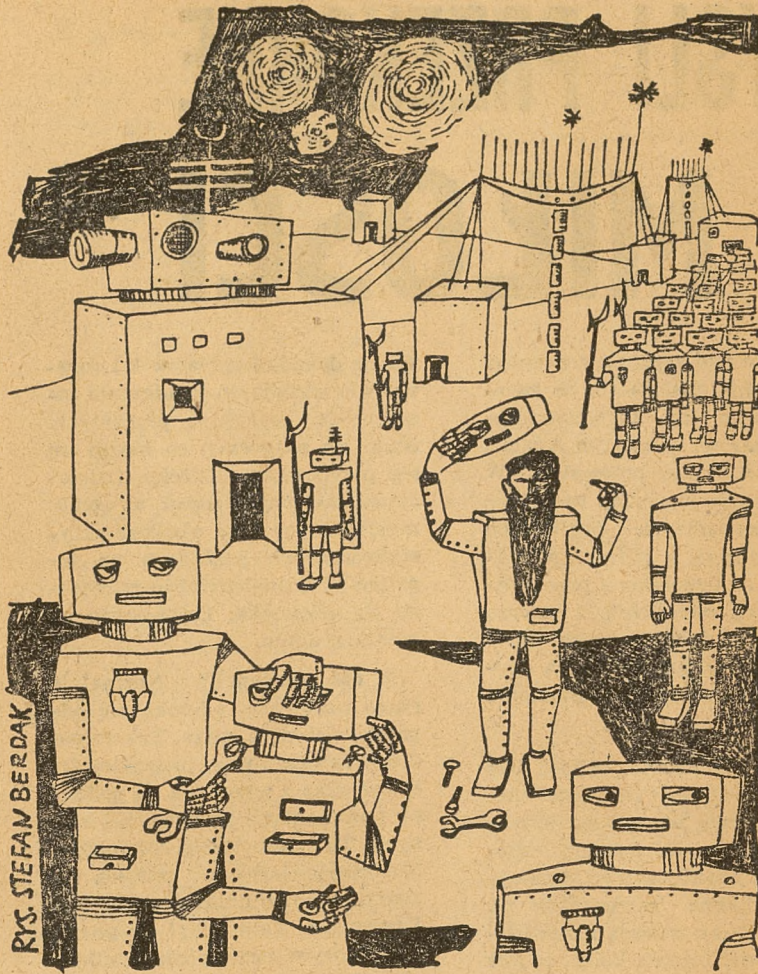
Istnieje hipoteza amerykańskiego uczonego Carrola, w myśl której oziębienie materii do temperatury zera bezwzględnego, odpowiadającej 273 stopniom mrozu, wywołuje zadziwiający skutek. Następuje eksplozja wyzwalająca — w proporcji ilości ogarniętej nią materii — niemal tysiącrotnie więcej energii aniżeli to ma miejsce przy użyciu materiału rozszczepionego w stosach atomowych.

Dlaczego tak się dzieje? Jest to związane z samą budową atomu. Jak wiadomo, naładowane ujemnie elektrony równoważą dodatni ładunek protonów, dzięki czemu każdy niezjonizowany atom jest elektrycznie obojętny. Elektrony okrążają jądro atomowe z prędkością, która pozwala im utrzymać się na poszczególnych orbitach. Ponadto elektron wiruje wokół własnej osi.

W wyniku oziębienia do temperatury zera bezwzględnego, co obecnie stało się w pewnych warunkach możliwe, elektrony okrążające atom powinny upaść na jądro atomowe. Na skutek zetknięcia różnoimiennych ładunków elektrycznych o tej samej mocy, następuje całkowite przekształcenie atomu w energię promieniowania. Jest to identyczny efekt jak przy skonstruowaniu antymaterii, a wymieniona droga wydaje się znacznie prostsza.

Oporając się na hipotezie Carrola, mgr. Wołczek opracował pomysł odpowiedniego urządzenia, nazwanego przez siebie reaktorem anihilacyjnym, w którym wyzwalamie energii odbywałoby się właśnie przy pomocy zamrożenia materii. Taki reaktor może stać się sercem rakiety międzyplanetarnej, rozpędzając ją do szybkości porównywalnej z prędkością światła.

A. T.



RYS. STEFAN BERDAK

STANISŁAW LEM PLANETA ROBOTÓW

(III)

Tichy, wysłany z Ziemi, w przebraniu robota, na zbuntowaną planetę zostaje rozpoznany i uwięziony. Właśnie do jego celi wchodzi urzędowy obrońca.



Bądź przeklęty, lepniaku! — rzekł, i dodał: — Mam być twoim obrońcą.

— Czy zawsze witasz w ten sposób swych klientów? — spytał.

— Lepniaków, tak — rzekł z przekonaniem. — Z lojalności jeno wobec mojej profesji — nie wobec ciebie, szubrawcze beczony — rozwinę kunsztu moje w twej obronie. kreaturo! Być może, da się zmiekczyć czekającą cię karę do jednorazowego rozebrania na sztuki.

— Jakto — powiedziałem — ależ mnie nie można rozebrać!

— Haha! — zazgrzytał — tak ci się jeno widzi! — A teraz powiadaj, co kryłeś w zanadru, kleista kanalio!

— Jak się nazywasz? — spytałem.

— Klaustron Fridrak. — Klaustronie Fridraku, powiedz, o co jestem oskarżony?

— O lepniaćność! — odparł natychmiast. — Kara za to przypada główna.. A dalej, o chucie zaprzędania nas, o śpiegarstwo na rzecz Bryi, o świetokradczo załęgły plan podniesienia ręki na Jego Induktywność — starczy ci, łajniasty lepniaku? Przyznajesz się do onych win?

— Czy napewno jesteś mym adwokatem? — spytałem. — Bo mówisz, jak prokurator albo sędzia śledczy.

— Jam jest twoim obrońcą.

— Dobrze. Nie przyznaję się do żadnej z tych win.

— Drzagi z ciebie polecą!!! — zaryczał.

Widząc, jakiego dostałem obrońcę, zamilkłem. Nazajutrz zaprowadzono mię na przesłuchanie. Nie przyznałem się do niczego, choć sędzia — jeżeli to było możliwe — grzmiał jeszcze okropniej od wczorajszego obrońcy. Przy następnym przesłuchaniu był obecny jakiś ważny dostojnik, sądząc

z ilości lamp, jaka się w nim żarzyła. Upłynęły cztery dalsze dni. Najgorzej było z jedzeniem. Zadowolalem się paskiem od spodni, który moczyłem w wodzie, jaką mi przynoszono raz dziennie. Po tygodniu pasek skończył mi się, na szczęście miałem wysokie, sznurowane buty z kozłej skórki — ich języki były najlepsze ze wszystkiego, co jadłem przez cały czas pobytu w celi. Osmego dnia rankiem dwu strażników kazało mi się zbierać. Wsadzono do karetki, pod eskortą przewieziono zostałem do Żelaznego Pałacu, siedziby Kalkulatora. Po wspinających, nierdzewnych schodach, przez sale, wysadzone katodowymi lampami, zaprowadzono mnie do wielkiego pozbawionego okien pokoju. Zostałem w nim sam — strażnicy wyszli. Pośrodku znajdowała się czarna zasłona, zwieszona ze stropu, fałdy jej otaczały środek pokoju czworobokiem.

— Marny lepniaku! — zagrzmiął głos, dochodzący jakby przez rury z żelaznego podziemia — ostatnia twa godzina bije. Rzeknij, co ci lube: szatkownica, łamignat, czy świdraulina?

Milczałem. Kalkulator zahuczał, zaszumił i odezwał się:

— Słysz mnie, lepka kreaturo, przybyła z poduszczenia bryi! Słysz mój potężny głos, młazgraty, klejaku, fałrze kisielisty! Wspinałości światłych moich prądów damam ci łaskę: jeśli przejdiesz na stronę wiernych szeregów moich, jeśli całą swą duszą podą nade wszystko wspinałcem zostań zapragniesz, życiem cię może daruję.

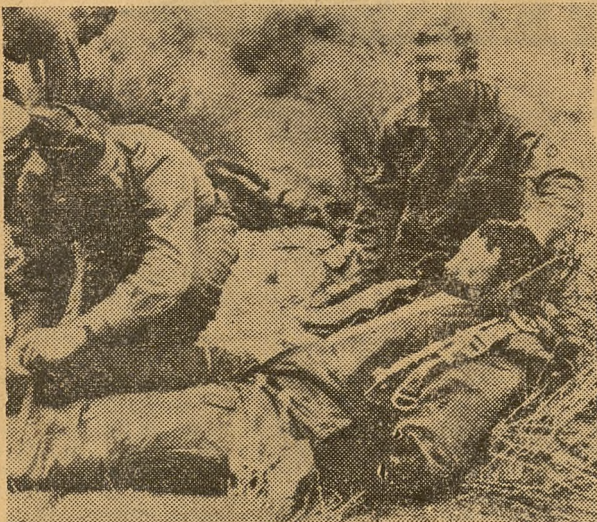
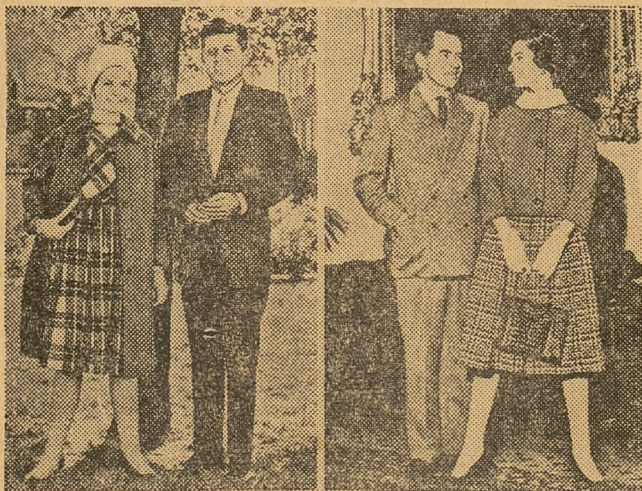
Rzekłem, że od dawna to właśnie było moim marzeniem. Kalkulator zarechotał szyderczo pulsującym śmiechem i rzekł:

— Między bajki Igarstwa twe włożę. Słysz, padalcze. Ostać się przy swym lepkiem żywocie możesz jeno jako wspinałec — halebardyer tajny. Zadaniem twym będzie lepniaków-śpiegarzy, agentów, zdrayców, a wszelakie inne

(Ciąg dalszy na str. 6)

Wszystkie chwytły dozwolone

W kampanii wyborczej wszystkie chwytły propagandowe są dozwolone. Oczywiście w USA. Oto dwaj kandydaci na prezydenta Stanów Zjednoczonych — Kennedy i Nixon pozują z modelkami demonstrującymi najnowsze modele płaszczy i wdziamek.



Rekordowy skok

Z wysokości 33 000 metrów, z balonu, wyskoczył kapitan Józef Killinger z USA, bijąc tym samym wszelkie rekordy w tej dziedzinie. Oto on, bezpośrednio po wyczynie.

MYŚLI PRZEKORNE O MIŁOŚCI (II)

Bładanie nad zepsuciem nowego pokolenia rozlega się po świecie zapewne od tych zamierzających czasów, w których Adam i Ewa dorobili się potomstwa. W każdym razie słyszymy te bładania w najstarszych przekazach myśli ludzkiej, a później powtarzają się co pokolenie z przeraźliwą, nużącą monotonią. I zawsze znajdzie się dość mędrców, zdolnych dostrzec dopiero w ich epoce ostateczne, dogłębne, piekielne zepsucie.

Trudno się dziwić. Miłość jest skomplikowanym zespołem doznań, nie przez wszystkich jednakowo odbieranych. Istnieją ludzie odbierający jakby słabiej. Istnieją wreszcie ludzie niewrażliwi na miłość, tak jak istnieją niewrażliwi na dźwięk, słowo, kolor, to jest na muzykę, poezję, malarstwo. Ludzie niewrażliwi nie odbierają doznań: im wystarczy mechanika odruchów. Można przypuszczać, że właśnie pokaźna ilość ludzi niewrażliwych bardzo głośno wyraża swe opinie i to właśnie o tych sprawach, które ich nie pobudzają. Ostatecznie w każdej dziedzinie tych niewrażliwych bywa więcej. Jeśli zaś do niewrażliwości dojdzie zawiść, a jest to połączenie częstsze chyba, niż się powszechnie przypuszcza, sprawa staje się zdecydowanie groźna.

Jak to już sobie powiedzieliśmy w poprzednim tygodniu, każdy nie dość konwencjonalnie umotywowany przypadek miłości wywołuje istną lawinę złożeń, wymysłów, bładów. Miłość pomiędzy młodymi jest tą jątrzącą sprawą, która ściga najwięcej słów oburzenia, najwięcej przestroż, najwięcej dobrych, och, nadzwyczajnie dobrych rad. Że zaś dzieje się ta sprawa pomiędzy młodymi niedoświadczonymi ludźmi, pożytki da oburzonych na ogół nie brakują. Mało kto zastanawia się nad prostą prawdą: że nie ma mądrości bez doświadczenia. Leje się bez umiaru słowa potępienia w każdym z tych przypadków, kiedy miłość młodych wykoleja się wśród przeciwności powszedniego dnia. Ale cisza absolutna okrywa przypadki przeciwe.

Zdarzyło się to kilka lat temu w Krakowie. Para młodziutkich kochanków: żadne z nich nie miało osiemnastu lat. Żadnego, oczy-

wście doświadczenia: w tej sprawie nie istnieją doświadczenia inne prócz osobiście przeżytych. Stało się najgorsze, co mogło im się przydarzyć: dziecko. Dziewczyna nie mogła zostać w domu; musiał to być dom o bardzo skryzalizowanych poglądach na legalność lub nielegalność rodzącego się człowieka. Dziewczyna uciekała z domu.

A cóż kochanek? Normalnie rzuca partnerkę, odrzeka się odpowiedzialności, znika. Tak to podobno zawsze bywa; przynajmniej tak wynika z wszelkich na podobny temat relacji prasowych i ustnych. Tu zdarzyło się coś innego. Nie mając żadnego miejsca na ziemi, chłopiec urządził groty pod Krakowem. Tam odbył się poród, przy którym z całą pieczołowitością i Bóg wie jakimi sposobami nabytą wiedzę asystował jedynie młodziutki ojciec. Dziewczyna z dzieckiem pozostała w grocie; chłopiec zapoatrywał ich w to wszystko, co mógł zdobyć i dostarczyć z miasta.

Myślę, że był to przypadek dostatecznie wstrząsający: społeczeństwo, my wszyscy, jako dżungla z której para kochanków popadająca w tego rodzaju sytuację musi po prostu uciekać. Ale to nie wszystko. Zdarzyła się rzecz jeszcze bardziej wstrząsająca. Kiedy się sprawa wydała, i kiedy dziewczyna wróciła do własnego domu, chłopiec został skazany na rok obozu poprawczego. Tak społeczeństwo nagrodziło rzadkie, przyznaję, w podobnie młodym wieku poczucie obowiązku i, co więcej, najrzadszy spośród znanych mi przejawów kultury miłości.

Nie chciałbym się tu zastanawiać nad skutkami, jakie obrót sprawy mógł wywołać w umysłach tych dwojga młodziutkich ludzi, bohaterów jednego z najpiękniejszych, nienapisanych romansów współczesnych. Powołałem się na ten przykład żeby uświadomić naszą społeczną niezdarność wobec najważniejszych zdarzeń duszy ludzkiej. Kim, u licha, jesteśmy, jakim prawem krzyczymy o cywilizacji, skoro jesteśmy głusi i ślepi na kulturę uczuć?

Kultura uczuć, kultura miłości; oto sprawa, do której wrócimy za tydzień.

Investycje przemysłowe, gospodarcze, kulturalne — ich celowość i właściwe wykorzystanie to sprawy wielkiej wagi, które są w centrum zainteresowania władz i społeczeństwa. Są pod stałą kontrolą, dyskutuje się jak je najwłaściwiej rozwiązać, jak przyspieszyć ich „owocowanie”. Tymczasem jest dziedzina inwestycji puszczona jak gdyby samopas z której nie żąda się rozliczeń, gdzie istnieje dysproporcja między wysokością nakładów a realnymi rezultatami. Mam na myśli wszelkiego rodzaju zespoły regionalne, muzyczne, taneczne przy dużych zakładach pracy i małych spółdzielniach, przy organizacjach społecznych i młodzieżowych. Jest ich tysiące. Oczywiście część z nich niestety, znikoma część, pracuje, ma nieraz ładne wyniki, produkuje się na zewnątrz. Lecz co z resztą? Istnieją przy zakładach Szadkowskiego i w Solvayu, w każdej kopalni i fabryce — orkiestry, zespoły estradowe. Kto widział ich występy? Wąskie grono pracowników, raz około 1 maja lub 22 lipca. Jeszcze jakieś eliminacje zespołów regionalnych, nagrody, dyplomy, uznania i na tym koniec.

Tak jest w Krakowie, tak jest w miastach powiatowych i na prowincji. W Zakopanem np. istnieje kilka zespołów regionalnych, są orkiestry, chóry, duży zespół młodzieżowy. Oczywiście nikomu nawet się nie przysniło, żeby wystąpić bodaj raz podczas

OKIENKO PROBLEMÓW AKTUALNYCH

SOBIE α MUZOM

sezonu z pół godzinnym występem na estradzie w parku.

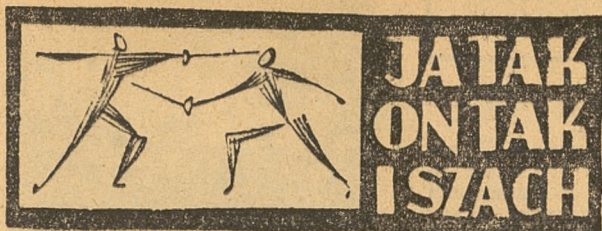
Tymczasem przyjechali na 3-dniowy wycieczny Czesi i od razu wyszli ze swoją orkiestrą, dając przyjemny bezpłatny koncert.

Wydaje się setki tysięcy na stroje, na instrumenty muzyczne, na instruktora. Rozmawiałem z kierownikiem sklepu muzycznego w Krakowie kompozytorem Leonem Rzewuskim, powiedział:

— Sprzedajemy bardzo dużo instrumentów. Zaopatrujemy województwa: krakowskie, rzeszowskie, no i oczywiście sam Kraków. Nie widać tych licznych orkiestr, a przecież mogłyby występować pod gołym niebem, dawać koncerty w centrum miasta i na jego peryferiach.

Otóż to. Wiele zakładów pracy zakupuje drogie częstokroć instrumenty, angażuje instruktora, by prowadził próby, wkłada dużo wysiłku i pieniędzy, a efekt końcowy — kilka występów na akademiach, czasem trafi się udział w festiwalu, zwycięstwo któregoś tam miejsca. Taki stan rzeczy zniechęca. A przecież amatorskie zespoły mogłyby mieć wielu wdzięcznych widzów i słuchaczy. Należałoby tylko wyjść z ciasnych pokoiów, niewielkich świetlic i zaprezentować się szerszemu ogółowi. Wymaga to trochę inicjatywy i dobrych chęci ze strony zakładów pracy i władz lokalnych.

JUK



16 mm

PRAWDY

Podobno Boy-Zeleński „był wrogiem wszelkich wykładów”. Tak przynajmniej relacjonuje Irena Krzywicka, która go doskonale znała. „Co za absurd — mówi — żeby profesor tracił czas na mówienie, a studenci na słuchanie kiedy najprostszą i jedyną metodą przyswajania wiedzy jest czytanie...” To zdanie mocno utkwiło mi w pamięci. Tyle u nas się ostatnio dyskutuje o reformie wyższych studiów. Myśli się o ich przedłużeniu a nawet tu i ówdzie przedłuża, kombinuje wygospodarowanie czasu na więcej praktyki, tak koniecznej przy wychowywaniu fachowców. A nikt jakos nie naruszył tradycji wykładów. Ja wiem że spotkałem się z gromkimi protestami, nawet ze świętym oburzeniem. Dlatego starałem się przysłonić autorytetem Boya. Tak mi się jakoś wydaje że wykłady wtedy mają zasadniczy i jedyny sens jeśli uczonej mówi o własnych doświadczeniach, o sprawach najnowszych znajdujących się w stadium badań. Natomiast trudno się oprzeć wrażeniu straty czasu zarówno ze strony profesora jak i studenta gdy wykład dotyczy wiadomości, których zdobycie poprzez podręczniki czy skrypty nie nastęrcza większych trudności.

Wyższe studia to nie szkoła powszechna, to przecież nie średnia nuda gdzie ma się do czynienia z niedorośliwymi ludźmi, którym wiedzę trzeba niejako wpychać łopata do głowy. Człowiek decydujący się na wyższą uczelnię musi rozumieć, że studia nauczą go metody samokształcenia się — wskażą źródła wiedzy, odkryją sposoby wykonywania zawodu, badań naukowych wreszcie. Od studenta ma się prawo wymagać samodzielności i dyscypliny. To zresztą chyba truzimy. A więc jeśli wykłady — to wykłady rzeczy nowych. Poza tym pracownicy naukowi powinni chyba wskazywać studentom gdzie można znaleźć wiadomości. Reszta ćwiczenia, praktyka.

Może zbyt apodyktycznie to wszystko co chciałem tu wypowiedzieć zabrzmiało. Powiedziecie teraz na pewno. „A widział tuż nam przekonujesz o potęgę słowa pisanego i chcesz je windować na niekorzyść słowa żywego, a sam się na pisanie łamiesz. Nie wszystko ci w pisaniu wychodzi jakbyś chciał”. Jasne że są wykładowcy, którzy działają na słuchaczy nie tylko samą treścią wykładu, ale przede wszystkim atmosferą jaką wytwarzają. A ta atmosfera, to rzecz jedyna w swoim

rodzaju i niepowtarzalna. Coś w tym niewątpliwie jest. Jednakże z kontaktów z ludźmi bardzo sugestywnymi pozostaje wspomnienie samej atmosfery. Wypowiedzi natomiast tych ludzi często ulegają zapomnieniu.

Spółczesność epoki telewizji, kina i książek to społeczeństwo wzrokowców. I nie sposób się z tym nie liczyć. I nie trzeba chyba daremnie tracić czasu na mówienie tego samego, lub prawie tego samego co można (z większą ilością szczegółów) po prostu przeczytać, względnie zobaczyć na ekranie. Nasze wyższe uczelnie za małą wagę — podobnie zresztą jak inne stopnie szkolnictwa — przywiązują do usprawnień technice nauczania, za mało kładą nacisku na samą organizację pracy. Ale się rozgadał na ten temat. A jeszcze mam w zanadrzu zadry aktualne, związane z Olimpiadą, która przecież tak pasjonuje nas wszystkich, lub niemal wszystkich.

Wracając jeszcze do tematu poruszonego przed chwilą — wahać się czy mam w sprawie wykładów rację. A może grubo, grubo się mylę. Pragnęlbym bardzo zostać przekonany. Zapraszam najserdeczniej panów profesorów do wypowiedzenia się a także studentów. Proszę napisać na ten temat: co sądzicie państwo o wykładach, o ich potrzebie czy niepotrzebie, o ich wartości. I o tym jakie metody unowocześnienia i usprawnienia pracy dydaktycznej na wyższych uczelniach są możliwe. Zanim otrzymamy wyjaśnienia — mogę się chyba spokojnie zająć sprawami olimpijskimi, w sportowym tego słowa znaczeniu, oczywiście.

Diabli mnie — krótko mówiąc — biorą, kiedy słucham wielu nadszłych radiowych sprawozdań. Tu podobnie jak z wykładami. Sprawozdawcy siedzący w Rzymie najczęściej powtarzają nam to, co już wiemy z szybkiej informacji dziennikowych (radiowych i gazetowych) — wyniki spotkań. A ja myślałem, że będziemy mogli wczuć się w atmosferę zawodów. Każda konkurencja ma swój jedyny i niepowtarzalny przebieg, swoją historię. I szczegółowych relacji z pola sportowej walki oczekujemy. Chcemy wiedzieć np. punkt po punkcie jak to się stało że Drogosz wygrał swoją pierwszą walkę w sposób przekonywujący i błyskotliwy.

Najlepiej — jasne — byłoby zokończyć na str. 9)

STANISŁAW LEM • PLANETA ROBOTÓW

(Ciąg dalszy ze str. 5)

robastwo, które bryja śle, demaskować, obnażać, przyłbice zdziierać, białym żelastwem wypalać, i takimi jeno służby kornymi ocalić się możesz.

Gdy wszystko solennie obiecałem, zaprowadzono mnie do innego pokoju, gdzie wciągnięto mnie na rejestr z rozkazem codziennego zdawania meldunków w głównej halebardierni, poczem, osłupiałego, na miękkich nogach, wypuszczono mię z pałacu.

Zapałał zmierzch. Wyszedłem za miasto, siadłem na trawie i jałem rozmyślać. Ciężko było mi na duszy. Gdyby mię zdekapitowano, ocalilibym przynajmniej honor, a tak, przeszędzisz na stronę tego elektrycznego potwora, zdradziłem sprawę, którą reprezentowałem, zmarnowałem swa szansę — co miałem robić, biec do rakiety? Byłaby to haniebna ucieczka. Mimo to zacząłem iść. Los szpicla na

usługach maszyny, rządzącej szeregiem żelaznych pudeł, byby hańbą jeszcze gorszą. Któż opisie me przerażenie, gdy, zamiast rakiety, na miejscu, gdzie ja zostałem, ujrzałem tylko rozwiłoczone jakimiś maszynami potrzaskane szczątki!

Było już ciemno, gdy wracałem do miasta. Usiadłem na kamieniu i po raz pierwszy w życiu załkałem rzewnie za utraconą ojczyznę, a lzy ciekły po żelaznym wnętrzu tego pustego bałwana, który miał być odtąd po śmierć moim więzieniem, wyciekaly przez szpary nadkolanowe na zewnątrz, grożąc rdzą i zeszlitywnieniem stawów, ale było mi już wszystko jedno.

Naraz ujrzałem pluton halebardiery, zwolna sunący ku łąkom podmiejskim na tle ostatniej poświaty zachodu. Dziwnie się jakoś zachowywali. Szarosi wieczoru gęsniała i w tym mroku to jeden, to drugi urywali się w pojedynkę z szeregów, jak najciszej przebiegając nogami, wzięli w krzaki i znikali w nich. Wydało mi się to tak dziwne, że mimo

bezbieżnego przynębnienia, wstałem cicho i ruszyłem za najbliższym. Była to — muszę dodać — pora, w której owocowały na podmiejskich krzakach dzikie jagody, podobne w smaku do borówek, słodkie i nader smaczne. Sam się nimi obiadłem ilekroć tylko mogłem wymknąć się z żelaznego grodu. Któż wypowie moje osłupienie, kiedy ujrzał, jak śledzony przeze mnie halebardiery małym kluczkiem, kubek w kubek podobnym do tego, który wręczył mi pełnomocnik II wydziału, otwiera sobie z lewej strony przyłbicę i rwąc obiema garściami jagody, jak dziki pakuje je w otwartą czeluść! Aż tam, gdzie stałem, dochodziło młazczące, pospieszne ępanie.

— Psst — syknąłem przenikliwie — ty, słuchaj.

Jednym sussem buchnął w gąszcz, ale nie uciekał dalej — słyszałem to. Przypadł gdzieś.

— Halo — powiedziałem znionym głosem — nie bój się. Jestem człowiekiem. Człowiekiem. Ja także jestem przebrany

Coś, jak gdyby jedno, strachem i podejrzliwością płonące oko, zerknęło na mnie spoza liści.

— Skąd mogę wiedzieć, żali nie zwodzisz? — rozległ się ochrypły głos.

— Ależ mówię ci. Nie bój się. Przybyłem z Ziemi. Wysłano mię tu umyślnie. Musiałem go jeszcze chwilę przekonywać, nim uspokoił się na tyle, że wylazł z krzaków. Dotknął mego pancerza, w ciemności.

— Człowiekiem? Prawda li to?

— Dlaczego nie mówisz po ludzku? — spytałem.

— Bom przepomniał. Piąty rok idzie, jak mię tu fata okrutna zaniosły, nacierpiałem się, że nie wypowiem... isto, fortuna szczęśna, że mi lepnika przed śmiercią użrzał dała... — bełkotał.

— Opamiętaj się! Przestań tak gadać! Słuchaj — jesteś może z dwójki?

— Zaśby nie! Isto, zem z dwójki. Malingraut mię tu wysłał, na mordęgę okrutna.

— Czemu nie uciekiesz?

— Jak mam uciec, gdy mi ra-

kietę rozebrano, a na dobry śrut roztrząchnięto? Bracie — nie lza mi tu siedzieć. Do koszar pora... pry, uwidzimy się li? Pod koszary jutro przyńdź... przyńdziesz?

Umówiłem się z nim tedy, nie włożyłem nawet, jak wygląda, i pożegnaliśmy się; kazał mi zostać jeszcze dobrą chwilę, a sam znikł w ciemności nocy. Wróciłem do miasta, pokrzepiony na duchu, bo widziałem już szansę zorganizowania konspiracji. Aby nabrać sił, poszedłem do pierwszej oberży, jaka nawinęła się po drodze i położyłem się spać. Rano, przegladając się w lustrze, zauważyłem na piersi, poniżej lewego naramiennika, malutki, kredą postawiony krzyżyk, i jak gdyby lu ki soadły mi z oczu. Ten człowiek chciał mnie zardzić — dlatego naznaczył mnie! Łajdak! Łajdak — powtarzałem w myśli, gorączkowo rozważając, co teraz począć. Starłem jaduszowy znak, ale to mię nie zadawoliło. Zapewne złożył już raport, myślałem, i zaczął szukać tego nieznanego lepnika, zwróca się zapewne do swych

Najazd Hiszpanów

Tęgo roku Francuzi byli zdziwieni najazdem Hiszpanów na francuską miejscowość klimatyczną. Przeszło 40 tysięcy. Z jakiego powodu? Toż mają u siebie wspaniałe widoki i plaże. Tłumaczy to zjawisko następująco: Po pierwsze — pragniemy przeczytać wreszcie gazety, zobaczyć filmy i sztuki — u nas to niemożliwe, bo cenzura szaleje, po drugie — nasi panowie pragną zobaczyć na plażach panie w stroju bikini — u nas bikini zabronione, wreszcie po trzecie — nasze panie przyjeżdżają, aby skopiować sobie francuską modę. U nas ludzie źle ubrani.

Budowle Paryża

Jak oświadczył francuski minister odbudowy Sudaireau, w okresie międzywojennym w Paryżu powstały tylko dwie znaczące budowle, pałac Chaillot i... skały dla mato w ogrodzie zoologicznym.



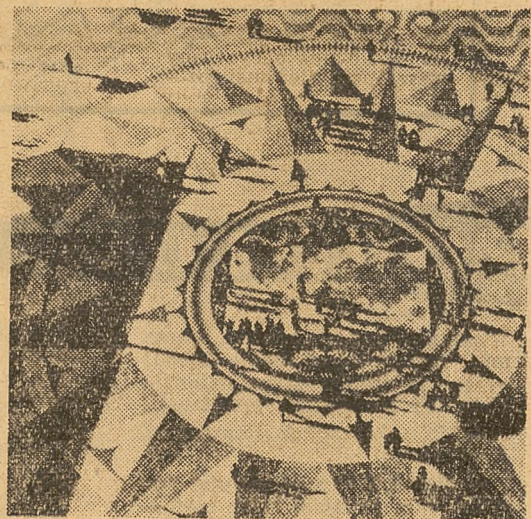
„Mam 16 lat”

Film produkcji NRD, reżyseria Carla Balhau-sa, opowiada o przeżyciach dziewczyny z domu poprawczego, która nie chce nagiąć się do regulaminu i zwyczajów panujących w domu poprawczym, nie chce współżyć ze swym otoczeniem.



Tarcza-słuchawka

Oto nowy typ telefonu, który stopniowo zdobywa sobie uznanie — tarcza do nakręcania numerów znajduje się na słuchawce.



Największy kompas

Największy na świecie kompas wykonany jest z marmuru i został przekazany w prezencie Portugalii od Unii Południowo-Afrykańskiej z okazji 500-lecia odkrycia przez Portugalczyka Henryka Navigatore — Przyłodka Dobrej Nadzi.

SÓL W ŻYCIU CZŁOWIEKA

20 milionów ton rocznie

Wśród znajdujących się bogactw mineralnych niewiele jest takich, które by miały większe znaczenie niż zwykła kuchenna sól. Zastosowanie jej jako przyprawy kuchennej jest znikome w porównaniu z ilościami zużywanymi przez fabryki konserw, przemysł chemiczny i mydlarski.

Sól leczy

Przed wiekami wiadomo już było, że pozbawienie człowieka soli prowadzi do nieuchronnej śmierci. Niewielu z nas może przeżyć ponad miesiąc w warunkach całkowitego pozbawienia soli. Współczesna medycyna posługuje się solą w walce z różnymi chorobami. Wprowadzana do organizmu człowieka oddziałuje na nadnercze, a regulowanie ilości spożywanej soli przez chorego jest wypróbowanym sposobem leczenia nerek.

Sól w warunkach gorącego klimatu jest niezbędna dla organizmu jako ekwiwalent utraconej soli skutkiem intensywnego pocenia się. Spożycie dodatkowej ilości chroni organizm przed chorobami serca i udarami słonecznymi.

Robotnicy zatrudnieni w ciężkim przemyśle (hutach) potrzebują również dodatkowej porcji soli kompensującej straty. Niedobór soli w organizmie wywołuje drgawki mięśni szkieletu.

Dla pokrycia światowego zapotrzebowania soli tak w życiu codziennym jak i przemysle, niezbędna jest ilość 20 milionów ton rocznie. Ilości te konsumuje przemysł, a jego „apetyt” na sól wzrasta z roku na rok. Sól potrzebna jest do produkcji szkła, aluminium, wytopiania metali oraz w przemyśle spożywczym. Stanowi pierwotny surowiec we współczesnym przemyśle chemicznym, niezbędna jest w przemyśle mydlarskim, dla oczyszczania tłuszczów i olejów roślinnych, dla produkcji wapna chlorowanego, nawozów sztucznych itd.

W ciągu ostatnich 15 lat przeprowadzono doświadczenia w zakresie nawożenia solą gleby. Uczeń stwierdził, że zastosowanie jej jako nawozu sztucznego pod buraki cukrowe, podnosi jakość buraków i czyni je bardziej przydatnymi do zmechanizowanego zbioru. Z drugiej zaś strony, nadmiar soli w glebie obniża jej wydajność.

Wydobywanie soli

Największe żupy solne znajdują się w Wieliczce. Anglia pokrywa 10 proc. światowego zapotrzebowania natomiast USA posiadają największe w świecie jezioro słone o długości 120 km i szerokości od 30 do 80 km, w którym sol

stanowi 1/6 część wody. Dalej idzie Kanada, która w ciągu ostatnich 20 lat zwiększyła 3-krotnie wydobycie soli.

Zdmiewające właściwości

Jeśli żywa komórka przeniesie my z słabego roztworu soli do czystej wody, komórka pęcznieje i pęka. Woda pozbawiona soli może stać przyczyną śmierci wyższych zwierząt, ponieważ czerwone ciała krwi rozrywają się, a do biegu krwi dostają się sole potasu. Poza tym nie mogą bez soli funkcjonować nerki. Z powodu zniszczenia komórek krwi może nastąpić paraliż serca nie tylko w wyniku bezpośredniego działania potasu, lecz również na skutek zakłócenia obiegu tlenu.

Stwierdzono, że dla zachowania zdrowia człowiek powinien spożywać dziennie od 4 do 8 g soli.

Soli nie zabraknie

Mimo wzrastającego zapotrzebowania na sól, świat nie będzie odczuwał jej niedostatku. Nawet w tym nieprawdopodobnym wypadku, gdy żupy solne i jeziora słone zostaną wyczerpane bez reszty, będziemy w stanie pokrywać nasze zapotrzebowanie jeszcze przez tysiąclecia dzięki wydobyciu soli z oceanów. Woda morską zawiera 3 proc. soli. A oceany mieszczą w sobie 2 miliardy kilometrów kubicznych słonego roztworu!

TAJEMNICA WIĘZIENIA W CALABARES

Calabarès, miasteczko w Wenezueli, słynie ze swego uniwersytetu, fabryki asfaltu, a przede wszystkim z więzienia. Dziwne było to więzienie. W ciągu dziesięciu lat, trzech kryminalistów skazanych na karę śmierci zniknęło nagle z celi w noc poprzedzającą egzekucję.

Pierwszy wypadek miał miejsce w 1951 r. W celi skazańców, dwudziesto-dziesięcioletni lekarz oczekiwał na egzekucję. Jest to Newdale, który został schwytany z bronią w ręku w chwili napadu na bank. Ratując się ucieczką, zabił policjanta i kasjera. Dostał się jednak w ręce sprawiedliwości.

O świcie, wszystko było przygotowane do egzekucji Newdale'a. Kiedy strażnicy otworzyli drzwi celi — była pusta. Newdale „ulotnił się”. Nie było żadnych śladów. Wszystkie poszukiwania spełzyły na niczym. Krążyły by nieumarzone, nie znaleziono również żadnych otworów umożliwiających ucieczkę. Wszystko było na swoim miejscu. Nie było jednak skazańca.

Komentarze prasy nie były przyjemne dla dyrekcji. W ciągu dwóch lat wszystko powróciło do ładu, egzekucje były normalnie wykonywane. Aż nagle, 28 marca 1953 r. strażnicy otwarli cele, by wyprzezwadzić skazańca. Cella była pusta, tak jak przed dwoma laty. Skazańcem był nie byle kto, bo sam Robert Parson, pięćdziesięcioletni „specjalista” od kas

pancernych, który nie zadowolony zamordowaniem i ograbieniem miliardera brazylijskiego, lecz wysłał również na tamten świat swego współnika. Zniknięcie Parsona było tym bardziej niemiłe dla dyrekcji więzienia, że opinia publiczna domagała się wielkim głosem kary śmierci dla podwójnego mordercy. Poszukiwania nie dały znowu żadnego rezultatu.

Trzy lata później, w listopadzie 1956 r., Dawid Jenkins, „pracujący” samolotem i skazany na karę śmierci za zabójstwo inkasenta, zniknął w sposób niewytłumaczony w noc poprzedzającą egzekucję.

Policja znowu była bezradna. W kilka miesięcy później, Calabarès nawiedziło trzęsienie ziemi. Lewe skrzydło więzienia, gdzie mieściła się cella skazańców zostało doszczętnie zburzone. Trzęsienie ziemi dopomogło do wykrycia tajemniczego zagadkowej celi. Przy usuwaniu gruzów odkryto pod celą wąski korytarz, który prowadził na zewnątrz więzienia.

Kiedy dyrektor więzienia wraz z prefektem policji weszli do podziemnego przejścia, myśleli, że może ono pomoże wytłumaczyć trzy tajemnicze zniknięcia skazańców. W połowie korytarza, na ziemi, znaleźli trzy ludzkie szkielety. W nowobudowanej celi znowu skazańców oczekiwał na śmierć. Był to inżynier architekt, budowniczy więzienia. Z chwilą wykry-

cia podziemnego przejścia podejrzanie padło na niego. Przez kilka miesięcy nie przyznawał się do winy, ale dowiedziano mu jej. Oto jak wyjaśniła się historia tajemniczych ucieczek.

Architekt polecił jednemu z murarzy wybudowanie podziemnego korytarza. Murarz ten zginał w czasie budowy więzienia w dziwnych okolicznościach. W ten sposób architekt pozbył się jedynego świadka, który wiedział o podziemnym przejściu.

Kiedy dowiedział się z gazet o mających nastąpić egzekucjach, wchodził z zewnątrz podziemnym korytarzem do więzienia. Korytarz kończył się ruchomą betonową płytą, która można było przesunąć tylko od strony podziemnego przejścia. Płyta ta stanowiła część podłogi celi skazańców. Architekt przesunął płytę, przez powstały otwór wsuwał się częściowo do celi i proponował skazańcom wolność za połowę ich ukrytych pieniędzy. Żądał również wyjawienia miejsca ich ukrycia. Skazańcy, pełni nadziei odzyskania wolności zgodzili się na te warunki i udawali się w ślad za „wybawcą” do podziemnego przejścia. Nie wiedzieli, że „wybawca” stanie się ich katem. Architekt bowiem zabijał ich w podziemnym korytarzu.

Po sześciu latach prawda wyszła na jaw i z kolei morderca morderców czekał na egzekucję, tym razem bez szans ucieczki. Wyrok wykonano w 1957 roku.

opracowała: an-he

Kariera

James Hagerty sekretarz prasowy Białego Domu zamierza po odejściu z posady zostać od stycznia przyszłego roku szefem propagandy wielkiej faoryki... wódek.

Teatr przestrzeni

W Moskwie odbyła się premiera w dziedzinie „teatrze przestrzeni”. Sztuka nosi tytuł: „Pięta w kosmosie”. Dekoracje przedstawiają kabinę sputnika.

Kaplica dla torreadorów

W francuskiej miejscowości w Ceret ma powstać kaplica przeznaczona dla torreadorów. Dekoratorami tej dziwacznej budowli będą Picasso i Salvadore Dali.

Poeta-złodziej

Grecki młody poeta, Demetrius Tsakanikas, okrącił niedawno wille znanego reżysera francuskiego, Andre Cayatte'a. Obaj panowie znali się z najlepszych sfer towarzyskich Paryża.

STANISŁAW LEM • PLANETA ROBOTÓW

rejestrów, na pierwszy ogień pód- da najbardziej podejrzani — by- lem tam przecież, w ich spisach, na myśl, że zaczną mnie przesłuchi- wać, zadrżałem. Zrozumiałem, że muszę odwrócić jakoś podejrzanie od siebie, i rychło znalazłem na to sposób. Cały dzień przesiedziałem w oberży, maltretując dla niepo- znaki cielecia, a o pierwszym zmierzchu wyruszyłem na mia- sto, dzierząc ukryty w dloni kawa-łek kredy. Nastawiłem nim coś ze czterysta krzyżyków na żelaziwie przechodniów — kto mi się tylko nawinął, został zazna- czony. Około północy, z lżejszym nieco sercem, wróciłem do zajaz- du, i wtedy dopiero przypomnia-łem sobie, że oprócz tego Judasza z którym rozmawiałem, do krza-ków powlazili zeszłej nocy także inni halebardyerzy. Dało mi to do myślenia. Wtem oślniła mię zdumiewająco prosta idea. Wy- szedłem za miasto, na jagody. Oko- koło północy znowu zjawiła się żelazna halastra, powoli rozsypa-ła się, rozpieczęła, i tylko z oko- licznych haszczy dobiegało po-

śleszne posapywanie i ćmkanie- zujących zaciekle gęb; potem, za- mykane, szczękały kolejno przyli- bice i całe bractwo powylażyło milczkiem z krzaków, obzarte ja- godami, jak baki. Wtedy zbliży-łem się do nich, wzięli mnie w mroku za jednego ze swoich; ma- szerując, stawiałem sąsiadom małe kółeczka kredą, gdzie po- padało, a u wrót halebardyerni zrobiłem w tył zwrot i poszedłem do mojej oberży.

Nazajutrz usiadłem sobie na ławce przed koszarami, czekając, aż wyjdą ci, co mają przepustkę na miasto. Odnalazłszy w tłumie jednego z tych, co mieli kółko na łopatce, podążyłem za nim, a gdy prócz nas dwóch nikogo nie było na ulicy, uderzyłem go rekawicą w bark, że cały zadzwonił, i rzek-łem:

— W imieniu Jego Induktyw-ności! Pójdiesz za mną!

Tak się przestraszył, że cały zaczął szczekać. Bez jednego sło- wa pokuszyl się za mną, pokorny jak trusia. Zamknawszy drzwi,

pokoju, jałem odkręcać mu głowę dobytym z kieszeni śrubokrętem. Udało mi się to po godzinie. U- niosłem ją jak żelazny garnek i oczom mym ukazała się, nieprzy- jemnie zbiełała od długotrwałego pobytu w ciemności, chuda twarz z wytrzeszczonymi strachem o- czami.

— Jesteś lepniakiem? — warknąłem.

— Tak jest, wasza miłość, ale...

— Co ale?

— Ale jam przecież — zareje- strowan... przysięgałem wierność Jego Induktywności!

— Jak dawno, mów!?

— Trzy... trzy lata panie — za- co — za co wy mi...?

Czekaj — rzekłem — a znasz- innych jakichś lepniaków?

— Na Ziemi? Juści znam, wa- sza miłość, dopraszam się łaski, ja ino...

— Nie na ziemi, bałwanie, tu!

— Nie, gdzieżby! Zaś! Skoro- ino zocze, na jednej nodze donio- se, wasza mi...

— No, dobra — rzekłem — Mo- żesz iść. Głowę sam sobie przy- kręć. Dałem mi was wszystkie śrubki w garści i wypchnąłem go za- drzwi. Słyszałem, jak nakłada so- bie czerep przesycający się jeszcze- rękami, a sam usiadłem na łóżku, mocno tym wszystkim zdziwiony. Przez cały następny tydzień mia-łem masę roboty, bo brałem z ulicy przechodniów, kto się tylko napatoczył, szedł do oberży, gdzie odkręcałem mu głowę. Przeczu- cie nie omyliło mnie: wszyscy, wszy-scy byli ludźmi! Nie zna-łem wśród nich ani jednego ro- bota! Zwolna rozrastał mi się w- głowie apokaliptyczny obraz...

Szatan, szatan elektryczny — ten Kalkulator! Co za piekło- wyległo się w jego rozżarzonych- drutach! Planeta była podmokła, reumatyczna, dla robotów — w- najwyższym stopniu niezdrowa, musiały masowo rdzewieć, może- brakło też, z biegiem lat, coraz- bardziej — części zamiennych, poczęły szwankować, jeden po- drugim szły na rozległe cementa-

ryska podmiejskie, gdzie tylko- wiatr chrząścił im podgowne- arkuszami kruszejacej blachy. Wó- wczas, widząc, jak topnieją jego- szeregi, widząc panowanie- swe zagrożone, Kalkulator doko- nał genialnej woltę. Z wrogów, nasyłanych na własną zębę- szpicli, jał czynić — własne wo- jsko, własnych agentów, własny- lud! Żaden ze zdemaskowanych- nie mógł zdradzić — żaden nie- ważył się na kontaktowanie z- innymi, jako z ludźmi bo nie- wiedział, iż nie są robotami, gdy- by się nawet dowiedział o tym- czy o owym, to bałby się, że- przy pierwszej próbie kontaktu- tamten wyda go, jak właśnie u- siłował to uczynić ów pierwszy,- przebrany za halebaniera czło- wiek, którego zastałem zniena- cka w borówkowym krzaku. Kalku- lator nie zadowolony się neutraliza- cją wrogów — każdego czynił bo- (Dokończenie na str. 8)

DZIECI

Humoreska

S ezon nad morzem miał się już ku końcowi. I właśnie wtedy, jak na szyderstwo, po długich tygodniach deszczu i sztormów, pojawiło się słońce! Serce mi się wprost krajało, kiedy siedząc wygodnie w koszu plażowym i popijając whisky z wodą sodową (butelka 600 złotych, oczywiście whisky) spoglądałem na tłumy wyblakłych wczasowiczów, ciągnących smętnie w stronę stacji i taszcących ze sobą ciężkie walizy oraz blade dzieci, które raz po raz wrywały się ku morzu. Na pewno wielu z nich pozostałoby tu dłużej, aby dzieci mogły wreszcie zażyć kąpiel i słońca, ale cóż... Wiadomo, pieniądze się skończyły!

Wyłączyłem cicho grającą kłtrę — radio na tranzystorach i oddałem się radosnym marzeniom. Moja sytuacja była zgoła inna, powiedziałbym, wyjątkowa! Tuż bowiem przed samym wyjazdem zgarnąłem główną wygraną w naszej lokalnej grze liczbowej i teraz cały świat leżał pokotem u mych stóp. — Mogłbym kupić sobie nawet jacht — pomyślałem się w duchu — ale nie zrobię tego. Posiedzę tu jeszcze z miesiąc, zabawię się, a potem wrócę lukstropedą do domu i wezmę się do zakupów. Auto, telewizor, lodówka, nowe spodnie... Życie nie umierać!

Oczywiście, nie omieszkalem się publicznie pochwalić swym szczęściem i oto teraz cała plaża wiedziała, że jestem milionerem. Rodziny, po raz ostatni wylegujące się na piasku, matki, ojcowie, babcie, a nawet dzieci, wszyscy spoglądali w moją stronę z nieukrywaną zazdrością.

Codziennie kosz mój otaczał rój pięknych kobiet w skąpych kostiumach. I teraz właśnie zeszyły się wszystkie moje panie: Zuzanna, Jadwiga, Barbara, Zofia... Zosia odgania ode mnie komary, Zuzanna wachluje mnie swym kostiumem, Jadwiga rozpięła nade mną wczorzysty chłński parasol, Barbara naciera mnie wonnym olejkiem, Zosia drapie mnie w pięty... Rozkosz!

Nieopodal nas, przy koszu na odpadki usadowił się jakiś młody człowiek w kąpielówkach. Głową wsparł o słupek, a na koszu wywił kartkę: „Od śmiecia — 1 złoty. Płatne u śmieciarza”. Mój Boże, jakich to sposobów chwytają się ludzie, aby tylko przedłużyć swój urlop! Biedak, zaraz od pierwszego klienta dostał po łbie pustą flaszkę...

Nagle — milcząc dotąd głośnik na molo zachrypił i rozległ się głos spikera: „Uwaga, uwaga! W radiowęźle na molo znajduje się chłopczyk w wieku lat pięciu. Chłopiec twierdzi, iż nazywa się Maruta. Powtarzam — Maruta. Rodzice lub opiekunowie proszeni są o odbiór dziecka”.

Na plaży zawrzało. Wszyscy zwrócili twarze w moją stronę. Moje panie obrzuciły mnie zdumionym spojrzeniem. I mnie samemu zdawało się, że się prześlizgałem. Akurat wydłubywałem palcem piach z ucha, kiedy głośnik powtórzył raz jeszcze ten sam komunikat. Tłum przypatrywał mi się podejrzliwie. Narastało oburzenie, czała się groźba... Wstałem więc i pośród powszechnego milczenia podążyłem na molo.

Po chwili pojawiłem się na plaży, trzymając za rękę chłopczyka o rozgarniętym wejrzeniu. Przyśięgam, widziałem go po raz pierwszy w życiu! Ale młodec raz po raz ścisnął mnie gorąco i krzychał na całą plażę: „Tata, kochany tata, kupisz mi zagłówek, co? A pójdziemy na łoda?” Nie było rady. Poszliśmy.

Nazajutrz niemal zapominałem już o tym całym incydencie. Chłopiec bawił się grzechem w piasku, mnie zaś, jak zwykle, otoczyło grono powabnych pań. Wtem — znów się dał słyszeć głośnik: „Uwaga! W lokalu radiowęźla znajduje się dziewczynka w wieku lat sześciu. Dziecko twierdzi, iż nazywa się Maruta. Powtarzam — Maruta. Rodzice lub opiekunowie proszeni są o zabranie dziecka”.

Udałem, że nie słyszę. Ale wnet przywrócili mnie do rzeczywistości

groźny pomruk tłumu: „Wyrodney ojciec! Wypiera się własnego dziecka! Hańba! Bić takiego!” Potulnie powlokłem się do radiowęźla.

Mała przez całą drogę wesoło podskakiwała i szczebiotała: „Tatusiu, zostaniemy tu jeszcze z miesiąc? A kupisz mi lalkę?”

— Zostaniemy, zostaniemy — potakiwałem drżącym głosem, spoglądając na rozanielony tłum.

Odtąd codziennie wracało do mnie jedno zagubione dziecko, a w którąś niedzielę wróciły do mnie nawet bliźnięta. W miarę jak przybywało dzieci, moje wielbicieleki opuszczały mnie, jedna po drugiej. Ostatnia odeszła Zofia, ugryzłszy mnie ze złości do krwi w piętę.

Tak więc, pozostałem na plaży sam — z kupą dzieciaków. — Szczęśliwy tata! — wołał na mnie ratownik. Tak, teraz dopiero poczułem, co to znaczy być ojcem. Dotąd, jako kawaler, nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Zapas gotówki zaczął szybko topnieć. Wiadomo, trzeba było żyć, ubierać taką zgraję, płacić za każde odłożenie...

Tak upłynął najtrudniejszy miesiąc mego życia. Wreszcie wraz z dziećmi zacząłem szykować się do wyjazdu. Maszerując na dworzec, na czele rozciągniętej kolumny, zamartwiałem się w duchu: — Co ja z nimi pocnę? Mam tylko jeden pokój... A w dodatku moja nieskazitelna dotąd reputacja...

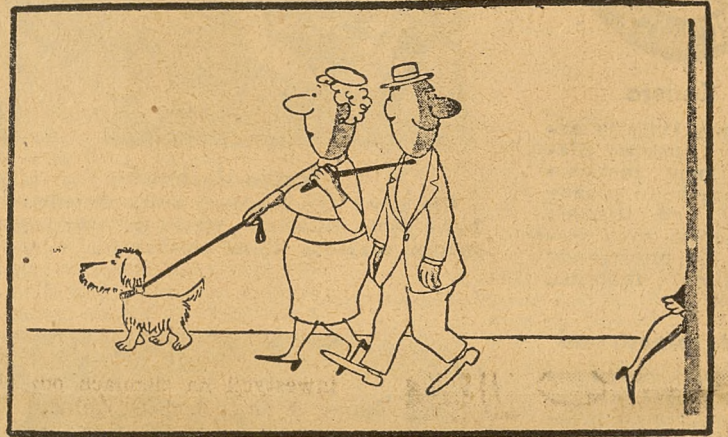
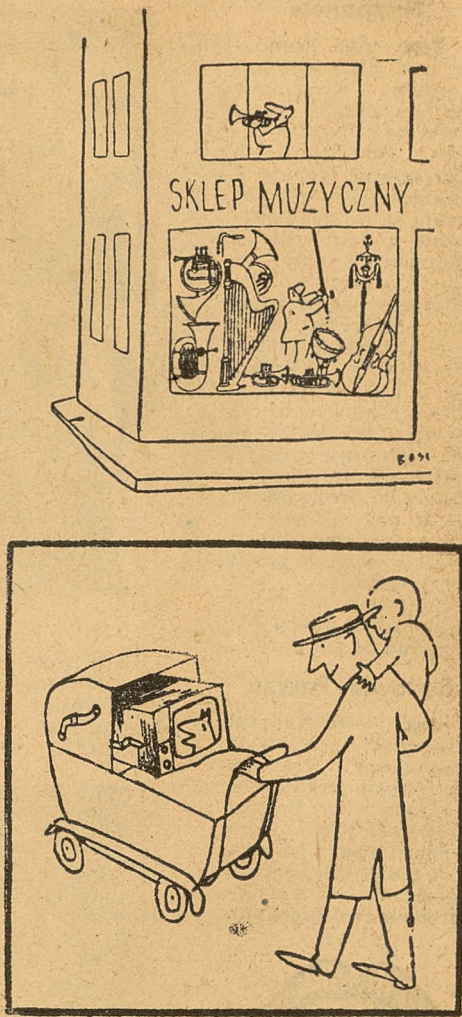
Ale na dworcu oczekiwała mnie radosna chwila wyzwolenia. Ledwie tylko zatrzymaliśmy się przed kasą, Jaś, mój pierworodny, odezwał się nagle: „Proszę pana, teraz dopiero przypomniałem sobie, że się wcale nie nazywam Maruta, tylko Kowalski! Zaszła pomyłka. Niech mi pan kupi bilet do Warszawy!” Z kolei reszta dzieci zaczęła się nawzajem przekrzykiwać: „Ja też nie nazywam się Maruta, tylko Kryśka Malinowska i proszę o bilet do Kielc!”, „Nowak jestem, jeden do Radomia, ze żniwką!”, „Jabłońska, pospiesz do Katowic!”, „Bracia Wiśniewscy, dwa do Krakowa!”

Sporządziłem na kolanie rozdzielnik, i zapakowałem dzieci do wagonów. Kiedy pociągi ruszyły, z wszystkich okien powiały ku mnie białe chusteczki. „Dziękujemy za wakacje, w inieniu mamusi i tatusia! Pa! Pa! Pa!”

Przez chwilę jeszcze kiwałem im ręką, potem z westchnieniem wyrzuciłem portfel przez ramię, dźwignąłem walizki i ruszyłem prosto przed siebie — na piechotę do rodzinnego miasta.



**HUMOR
bez
podpisu**



STANISŁAW LEM • PLANETA ROBOTÓW

(Dokończenie ze str. 7)

ownikiem swojej sprawy, a przymuszając do wydawania innych, nowo przysyłanych ludzi, dawał jeszcze jeden dowód piekielnej chytrkości, któż bowiem lepiej potrafił odróżnić nasłanych ludzi od robotów, jeśli nie sami owi ludzie właśnie, którzy znali wszak podszewkę wszystkich praktyk II Wydziału! Tak więc każdy człowiek, zdemaskowany, wciągnięty do rejestrów, zaprzysiężony, czuł się sam.

W taki sposób elektryczne monstrum trzymało nas w niewoli, szachując wszystkich — wszystkimi, bo przecież to własni moi towarzysze niedoli strzaskali moją rakietę, i tak samo — dowiedzialem się tego z ust haberdaryera — postąpili z zastępami innych rakiet. Piekiło, piekielniki! — myślałem, dygocąc z wściekłości. I mało, że zmuszał do zdrady — mało, że Wydział sam coraz ich więcej przysyłał dla jego wygody, to jeszcze przyodzieiwano mi ich na Ziemi w najlepszy nierdzewny ekwipunek, wysokiej jakości! Czy były w tych zakutych w błachę rzeszach jeszcze jakieś roboty? Poważnie w to wątpiłem. Zrozumiałam też stała się dla mnie gorliwość, z jaką prześladowali ludzi. Sami błądząc nimi, musieli, jako neofici wspaniałstwa, być bardziej robotami, aniżeli autentyczne roboty. Stąd zaciekła nienawiść, jaką okazywał mi mój adwokat. Stąd łajdacka próba wydania mi, jaką podjął ów człowiek, któremu pierwszym, zdemaskował. On, co za demonizm cewek i zwojów, co za strategia elektryczna!

Co robić? Zakraść się do pałacu? To przedsięwzięcie szalone. Cóż mi jednak pozostawało? Niesamowita sprawa: miasto, otoczone cmentarzyskami, na których, w rdzę obrócone, spoczywa-

ły hufce Kalkulatora, a on rządził dalej, silniejszy niż kiedykolwiek, pewny swego, bo Ziemia przysyłała mu wciąż nowe i nowe zastępy — szataństwo! Im dłużej myślałem, tym lepiej pojmowałem, że nawet to odkrycie, którego niewątpliwie musiał przede mną dokonać niejeden z nas, w żadnej mierze nie odmieniło sytuacji. W pojedynkę nie mógł zrobić, musiał zwierzyć się komuś, zaufać, a to pociągało za sobą natychmiastową zdradę zdrajcy, oczywiście, liczył na awans, na wkupienie się w szczególnej łasce, machiny. Na świętego Elektrycego! — myślałem — geniusz to jest... I myśląc tak, zauważyłem, że i ja sam zlekka już archaizuję składnię i gramatykę, że i mnie udiela się ta zaraza, że naturalnym poczyna się wydawać wygląd żelaznych pałub, a ludzka twarz czymś nagim, brzydkim, nieprzyzwoitym... lepniaczem. Wielki Boże, wariuję pomyślałem, a inni pewno dawno już sfiksowali — ratunku!

Po nocy, spędzonej na ponurych rozmyśleniach, poszedłem do magazynu w śródmieściu, kupiłem za trzydzieści ferklosów najostrzejszy tasak, jaki mogłem dostać i, doczekawszy się zapadnięcia mroku, zakradłem się do wielkiego ogrodu otaczającego pałac Kalkulatora. Tu, zaszyty w krzewy, wyswobodziłem się przy pomocy obcęgów i śrubokręta z mego żelaznego pancerza i na palcach, bosy, bez szelestu, wspiałem się na piętro po rynnicy. Okno było otwarte. Korytarzem, gięcho dźwięcząc, tam i sam chodził strażnik. Kiedy odwrócił się plecami, w przeciwnym końcu korytarza, skoczyłem do środka, podbiegłem szybko do pierwszych z brzegu drzwi i cicho wszedłem — ani mnie zauważył.

Była to ta sama wielka sala, w której słyszałem głos Kalkulatora. Panował w niej mrok. Roz-

chyliłem czarną zasłonę, i zobaczyłem olbrzymią, stropu sięgającą ścianę Kalkulatora, ze świecącymi jak oczy zegarami. Z hoku widniała biała szpara. Były tam jakieś niedomknięte drzwi. Zbliżyłem się do nich na palcach i powstrzymałem dech.

Wnętrze Kalkulatora wyglądało jak mały pokój drugorzędowego hotelu. Z tyłu stała niewielka, wpółotwarta kasa pancerna, z wetkniętym w zamek pękiem kluczy. Za biurkiem, zawalonym papierami, siedział podstarzały, zaschły mężczyzna w szarym ubraniu, z mufiastymi zarękawkami, jakich używają biurowi urzędnicy, i pisał, stronę po stronie wypełniając zadrukowane formularze. Obok jego łockia parowała szklanka herbaty. Na talerzyku leżało kilka keksów. Wszedłem na palcach, zamknąłem za sobą drzwi. Nie skrzypnęły.

— Psst — powiedziałem, unosząc tasak obiema rękami.

Mężczyzna drgnął i spojrzął na mnie; lśnienie tasaka w mych rękach przyprawiło go o najwyższy strach. Twarz mu się wykrzywiła, spadł z krzesła na kolana.

— Nie!! — jęknął. — Nie!!

— Jeżeli podniesiesz głos — marnie zginiesz — powiedziałem. — Kim jesteś?!

— He... heptagonius Argusson, wasza miłość.

— Nie jestem żadną miłością. Masz mówić do mnie „panie Tichy”, rozumiano?

— Tak jest! Tak! Tak!

— Gdzie jest Kalkulator?

— Pa... panie...

— Żadnego Kalkulatora nie ma, co?!

— Tak jest!! Taki miałem rozkaz!

— Proszę! od kogo, można wiedzieć?

Drżał na całym ciele. Uniósł błagalnie ręce. — To się może źle skończyć — jęknął — litości!

Niech mi pan nie zmusza, wasza mi... przepraszam! panie Tichy! — ja, ja jestem tylko urzędnikiem VI grupy uposażeniowej...

— No, co słyszysz? A Kalkulator? A roboty?

— Panie Tichy, ulituj się! Powiem całą prawdę! Nasz szef — on to zorganizował. Chodziło o kredyty — o rozszerzenie działalności, o większą — e... operatywność... żeby badać przydatność naszych ludzi, — ale najważniejsze były kredyty —

— Więc to było sfigowane? Wszystko?!

— Nie wiem! Przysięgam! Od kiedy tu jestem — nic się nie zmieniło. Niech pan nie myśli, że ja tu rządzą, uchowaj Bóg! — moim zadaniem jest tylko wypełnianie akt personalnych. Chodziło o to, — czy nasi ludzie mogą się załamać w obliczu wroga, w krytycznej sytuacji, czy też gotowi są na śmierć —

— A dlaczego nikt nie wracał na Ziemię?

— Bo... bo wszyscy zdradzali, panie Tichy. Jak dotąd, ani jeden nie zgodził się ponieść śmierci za sprawę bryi — tfu, za naszą sprawę, chciałem powiedzieć, mówię to z przyzwyczajenia, niechże pan zrozumie, jedenaście lat tu siedzę, już za rok spodziewam się emerytury, ja mam żonę i dziecko, panie Tichy, błagam...

— Zamknij gębą!! — rzekłem gniewnie. — Emerytury się spodziewasz, lotrze, ja ci dam emeryturę!!

Podniosłem tasak. Urzędnikowi oczy wyszły z orbit; zaczął się czołgać do mych stóp. Kazałem mu wstać. Przekonał się, że kasa pancerna posiadała mały, zakratowany lufcik, zamknąłem go w niej.

— I ani mru — mru! Żebyś mi się nie ważył łomotać, ani stukać, drabie jeden, bo szatkownica!!!

Reszta była już prosta. Noc spędziłem nienajlepszą, bo wer-

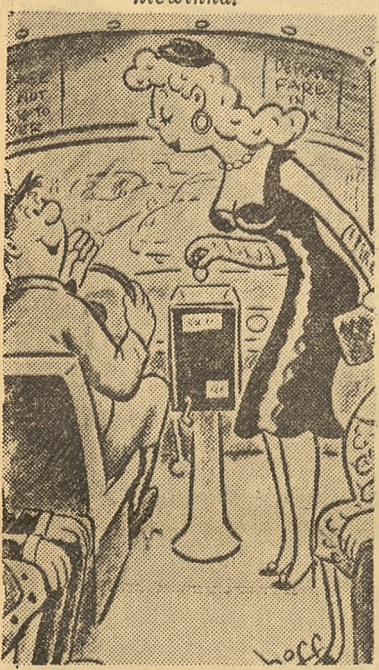
towałem papiery — były to sprawozdania, raporty, formularze, każdy mieszkaniec planety miał własną teczkę. Umościłem sobie biurko najtajniejszą korespondencją, bo nie było na czym spać. Rano włączyłem mikrofon i wydałem, jako Kalkulator, rozkaz, by cała ludność zebrała się na placu pałacowym. Każdy miał przynieść ze sobą obciążki i śrubokręt. Kiedy się wszyscy ustawili jak gigantyczne figury szachowe z żelaza, rozkazałem, aby sobie poodkręcali nawzajem głowy, na intencję pojemności tego Elektrycego. O jedenastej wyłaniać się zaczęły pierwsze ludzkie głowy, zapanował tumult i chaos, podniosły się krzyki „zdrada!” — która w kilka minut później, kiedy ostatnia żelazna bania z łoskotem spadła na bruk, przerodziły się w jeden ryk radości. Ukazałem się wówczas zbraniami we własnej postaci i poleciłem aby się, pod moim przewodem, wzięli do pracy — pragnąłem sporządzić z miejscowych surowców i materiałów wielki statek. Okazało się jednak, że w podziemiach pałacu znajduje się szereg statków kosmicznych, z pełnymi zbiornikami, gotowych do drogi. Przed startem wypuściłem z kasy pancerniej Argussona, nie wziąłem go jednak na pokład, i nikomu nie pozwoliłem go zabrać. Powiedziałem, że zawiadomię o wszystkim jego szefa, przy czym powiem mu, też możliwe wyczerpująco, co o nim myślę.

Tak zakończyła się ta, jedna z najszybszych moich przygód i podróży. Mimo wszystkie trudności i męki, o jakie mię przyprawiła, rad byłam takiemu obrotowi rzeczy, gdyż przywróconą została mi, nadszarpnięta przez malwersantów kosmicznych, wiara w przyrodzoną moc mózgu elektronowych. Jak to jednak miło pomyśleć, że tylko człowiek może być draniem.

HUMOR



Oto dowód, że moja klientka jest niewinna!



Może się pan przesiądnąć na tył wozu.

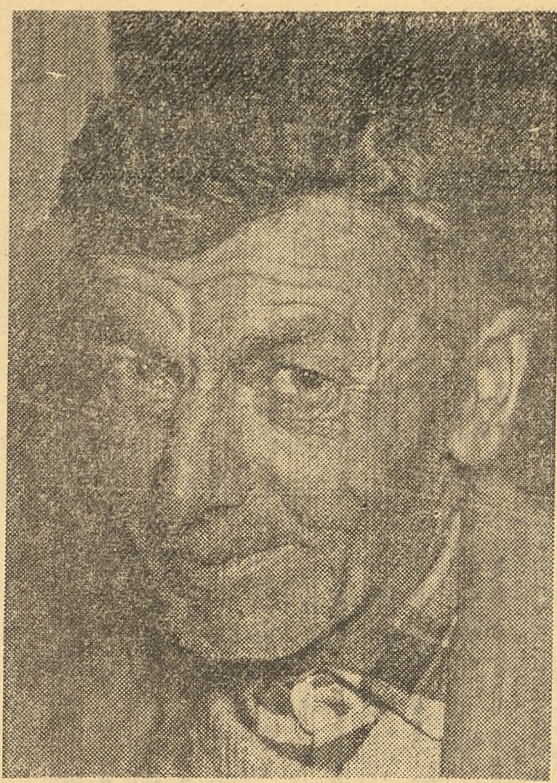
16 mm PRAWDY

(Dokończenie ze str. 6)
 baczycy taką walkę na ekranie telewizyjnym. Nie każdy ma aparat telewizyjny, a poza tym godziny transmisji są ograniczone. Cały więc ciężar spada najpierw na radio, a potem na prasę. Tu — zauważycie — że i w radio np. też są ograniczone i z góry ustalone godziny transmisji, tak że sprawozdawca może aktualnie nie „chwycić” najbardziej interesującego polskiego słuchacza punktu zawodów. Prawda.
 Ale od czego technika. Gdy usłyszałem że Japończycy przesyłają do prasy i telewizji filmy kręcone na taśmach 16 milimetrowych — pomyślałem sobie: to się nazywa dobra dziennikarska robota. Trochę techniki a odbiorca wie wszystko lub niemal wszystko czego pożąda. Nasi dziennikarze chyba nie wzięli na igrzyska magnetofonów, choć podobno multum redakcji w kraju dostało takie małe miniaturowe, przenośne magnetofony, zabierające niezwykle mało miejsca. Da się je nosić w kieszeni.
 Dlaczego — pytam sprawozdawcę radiowy, podczas bezpośredniej audycji z Rzymu, ma sucho opisywać ex post: widziałem to a to. Grubo lepiej by było, ażeby nagrał najciekawsze fragmenty na magnetofonie, na żywo — tak jak czuje i widzi obserwując przebieg zmagania i potem zedytować przed mikrofonem łączącym go z krajem. Niestety. Tak się nie dzieje. I tylko niektóre konkurencje będziemy słyszeć „na żywo”. Mam o to żal do radia, które zresztą lubię i cenię. Mogło być postawione na Olimpiadzie — gratka raz na cztery lata.
 O nic innego mi nie chodzi, tylko o tych 16 mm prawdy na taśmie filmowej lub o milimetry prawdy i przeżyć na milimetrowym drucie mikromagnetofonów. Tyle na dziś. I tak dwa grzyby w barszczu — to za wiele.

ADAM HOLLANEK

FOTO KONKURS

STARY CZŁOWIEK. Zdjęcie nadesłane na nasz konkurs fotograficzny przez p. Antoniego Wilczkiewicza z Dębicy, wykonane aparatem Practina FX, t=1/1000, d=8.



15-lecie SFOS

Popularny „SFOS”, istniejący od 1946 r., zgromadził do dziś z drobnych datków społeczeństwa — 47 mln 400 tys. zł. Nie cała jednak kwota przeznaczona została na odbudowę stolicy. Z sumy tej od roku 1958 zainwestowano na terenie Krakowa 47,5% tj. 22 mln 750 tys. zł. A więc blisko połowa zebranej kwoty posłużyła na inwestycje krakowskie jak budowa nowych obiektów zakup urządzeń dla szkół, dla młodzieżowych domów kultury remonty obiektów zabytkowych itd.

Od 1958 r. 75% kwoty zebranej u nas na SFOS w ciągu roku, przeznaczają się wyłącznie na potrzeby inwestycyjne naszego miasta. Pozostałe 25% łącznie z podobnym procentem od innych SFOS-ów służyła wojewódzkiego — stanowią fundusz centralny przeznaczony w znacznej większości na szybszą realizację inwestycji na ziemiach odzyskanych na zachodzie i północy kraju. Również mogą z niego korzystać pozostałe województwa niezależnie od posiadania swoich 75% funduszy zbiorczych. SFOS stał się więc inwestycyjną samopomocą społeczną zorganizowaną w całym kraju i przede wszystkim dla terenu, na którym jest zorganizowany.

Krakowski Komitet Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy, rozpoczęła 1 września br. 15-letni jubileusz swego istnienia. Jeżeli jego działalność, rozpoczęta 15 lat temu, spotkała się ze spontanicznym odzewem całego narodu

— tradycja ta utrzyma się dziś. Uczestnictwem tej tradycji będzie dalsza ofiarność społeczeństwa na inwestycje nie tylko na ziemiach zachodnich ale i w Krakowie. Żadna dotychczas ofiarowana przez społeczeństwo złotówka nie poszła na marne. I dalej też będzie z korzyścią dla kraju wykorzystywana.

Turystyka... z wódką

W Międzybrodziu sto metrów od szosy wiodącej do Żywca istnieje Hala Turystyczna obficie zaopatrzona w skrzynki wypełnione „monopolówką”. W dni świąteczne jak np. 15 i 17 sierpnia br. tysiące wycieczkowiczów i turystów nie mogło w niej kupić napoi chłodzących lub słodczych, nie mówi się już o gorących posiłkach.

W tej malowniczej miejscowości jaką jest Międzybrodzie, niezbędna jest estetycznie urządzone hala turystyczna z bufetem obficie zaopatrzonym, w gorące dania barowe. Sprzedają wódki niech się zajmują lokale mające odpowiednie do tego trunku szyldy. (BA.)

POCZTA „ZDARZEŃ”

STANISŁAW CZOPER (Zak), Trepcza 22. W interesującej Was sprawie prosimy porozumieć się z Państwową Szkołą Podstawową Muzyczna, Kraków, Basztowa 6. K. SMAGOWICZ, Kraków. Dziękujemy za miłe słowa.

Pobaw się CZY JESTEŚ ŚMIAŁY, ODWAŻNY, ZDECYDOWANY?

- Dzisiaj pozytywnym typem jest zawiadziak, nie ten rozpychający się łokciami, ale odznaczający się śmiałością, fantazją i zimną, trzeźwą rozwagą. Do nich należy świat, a jeśli i Ty posiadasz odpowiednie cechy, co łatwo sprawdzisz na podstawie testu — gratulujemy.
- 1 Czy podejmiesz ryzyko, jeśli możesz wiele zyskać, ale także wiele stracić? — tak (6), czasem (3), nie (3).
 - 2 Czy kolor niebieski jest Twoją ulubioną barwą? — (2), (0), (7).

- 3 Czy potrafisz bez trudu zrozumieć sposób myślenia drugiej osoby? — (7), (2), (1).
- 4 Czy często napada Cię chęć zmiany zawodu, robienie czegoś innego, możliwe w innym mieście? — (5), (1), (3).
- 5 Czy pracujesz najlepiej w godzinach porannych? — (6), (2), (1).
- 6 Czy należysz do ludzi, którzy mogą bez trudu wygłosić pogadankę, albo wyróżniają się w obcym towarzystwie? — (7), (2), (3).
- 7 Czy więcej niż 75% Twoich znajomych określa Cię: czujący się człowiek? — (4), (2), (6).
- 8 Czy przechowywasz listy miłosne? — (4), (2), (6).
- 9 Czy, jeśli jesteś, względnie byłbyś żonaty, chciałbyś mieć więcej jak dwoje dzieci? — (5), (0), (2).
- 10 Czy uprawiasz chętnie sport? — (6), (2), (1).
- 11 Czy tracisz równowagę, jak inni się z Ciebie wysmiewają? (2), (1), (7).
- 12 Czy często zazywasz tabletki przeciwko bólowi głowy, lub bezsenności? — (1), (3), (9).

Dzieło sztuki za tanie pieniądze

4 bm. zostanie otwarta w Pałacu Sztuki w Krakowie Ogólnopolska Wystawa „Biennale Grafiki 1960”. Pokaże ona współczesną grafikę polską, różnorodność kierunków i koncepcji malarskich — tak zawsze żywo dyskutowanych nie tylko wśród artystów ale i w szerokich kręgach odbiorców. Jednym z celów wystawy jest również upowszechnienie sztuki. Ponad 300 prac zgłoszono do subskrypcji w cenie od 150—350 zł. Umożliwi to zakup wartościowych dzieł sztuki najszerszemu ogółowi, szkołom, instytucjom itd. Termin przyjmowania subskrypcji — do 30. IX. br. Zamówione prace dostarczone zostaną odbiorcy w przeciągu miesiąca tj. do końca października. Pieniądże



Jeden z drzeworytów wystawy — Konstantego Sopoćki: „Mój przyjaciel pszczelarz”.

na zamówione grafiki (plus 10 zł na koszt opakowania i przesyłki) przesyłać przy zamówieniu na adres „Ogólnopolska Wystawa „Biennale grafiki 1960”, Kraków, pl. Szczepański 4, Pałac Sztuki.

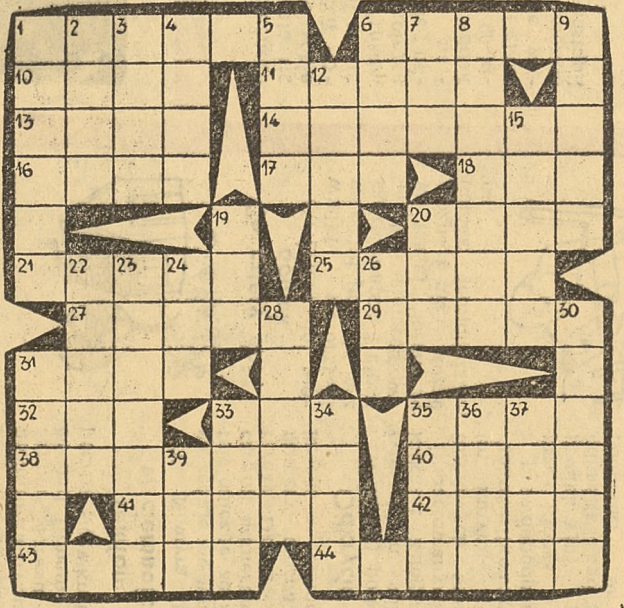
KSIĄŻKI WYLOSOWALI

IRENA NOWORYTA, Rabka Zdrój, ul. Polna 21.
 MARIA CHRZĄSTOWSKA, Toruń, ul. Prosta 19.
 MIECZYSLAW BYSKO, Radziechowy 702, pow. Żywiec.
 ELŻBIETA PIEKARSKA, Kraków 14, ul. Traugutta 63.
 J. KULICKI, Gdańsk ul. Olejarna 8/5.

JÓZEF NOWAK, Kępno, ul. Kilińskiego 3.
 STANISŁAW SOBCZAK, Łódź, ul. Wodna 34.
 JANUSZ KRASOWSKI, Gdynia, Zwirki i Wigury 6/18.
 M. HUBERT, Świdnica Si. ul. Marksa 19, woj. wrocławskie.
 STANISŁAW ŚWIĘCH, Kraków, ul. Grunwaldzka 16/6.

POZIOMO: 1. rower dwuosobowy, 6. lekka sportowa łódź, 10. substancja z wodorostu morską, używana jako pożywka w doświadczalnej hodowli bakterii, 11. miejsce występu w cyrku, 13. inacej: przedmioty wykonywane z roztopionego metalu, 14. rzymski główny bóg niebios, 16. składnik gazu świetlnego, 17. męskie imię wschodnie, 18. dawny proszek używany powszechnie do mycia, 20. duma pawiego rodu, 21. 21. szata żydowska, wdziwana podczas modlitwy, 25. inacej: odtąd, na przyszłość, 27. narośl na liściu dębu, z której otrzymuje się taninę, 29. naszyjnik z pereł lub drogiej kamieni, 31. brak, usterka, 32. uprzywilejowany „kolor” w kartach, 33. zaimek, 35. rzymski Eros, 38. ptak śpiewający z rodziny łuszczaków, 40. ilość materii w jakimś ciele, 41. Jedna z cór Zeusa i Mnemozyny, 42. mgła nad trzęsawiskami, 43. barwny ptak o ogromnym dziobie, zamieszkujący tropikalne lasy Ameryki, 44. stałe miejsce pracy.
 PIONOWO: 1. nieprzeciętna zdolność, 2. minerał o koncentrycznych różnobarwnych warstwach, używany na drobne wyroby galanterijne, 3. tytuł powieści E. Zoli, 4. sącdek melioracyjny, 5. imię Berezowskiej, 6. francuska czapka wojskowa z prostokątnym daszkiem, 7. przysłówek, 8. krzywy miecz turecki, 9. podwalina prawa muzułmańskiego, 12. papier zwinięty w walek, 15. szal z kosztownego futra, 19. symbol złośliwości, 20. utwór poetycki o charakterze uroczystym i wzniosłym, 22. imię żeńskie, 23. nabój w karabinie, 24. zdrobniałe imię żeńskie, 26. naga postać na obrazie, 28. rodzaj utworu lirycznego, wprowadzonego do literatury polskiej przez J. Kochanowskiego, 30. silna trucizna, 31. nieobsadzony etat, 33. miasto portowe w pln. Algerii, 31. rów strzelecki, 35. jedno z imion słynnego pedagoga czeskiego Komensky'ego, 36. karta geograficzna, 37. ustoiny na dnie naczyń, 39. rodzaj papugi, występującej w Ameryce zwrotnikowej.

30. pan, 31. Mars, 34. ku, 35. Ina, 36. edytor, 39. anafora, 40. muzeum, 41. kadet.
 PIONOWO: 1. puszka, 2. eks, 3. raz, 4. ślad, 5. abak, 6. weki, 7. ar, 8. Agata, 10. ironia, 12. pretor 13. rubanek, 15. kaliban, 19. solona, 20. krok, 21. łoża, 24. szeryf, 27. asumpt, 28. opium, 31. menu, 32. Adam, 33. stok, 37. ora, 38. rad, 39. AE (Albert Einstein).



ROZWIĄZANIE „KRZYZOWKI” Z NR. 35
 POZIOMO: 1. pierś, 5. awaria, 9. kaliber, 11. szarak, 12. pra, 14. ZK (Zygmunt Krasiński), 16. doki, 17. Rut, 18. Kask, 21. Leba, 22. Alor, 23. Istota, 25. Iloraz, 26. zona, 28. obok, 29. Arpa,

Ponad 75 punktów: Jesteś typowym zawiadziakiem, w dobrym tego słowa znaczeniu. Odwaga i inicjatywa to Twoje zalety. Nie pozwolił wyprowadzić się także w żadnym wypadku z równowagi, jesteś na to zbyt inteligentny. Posiadasz powodzenie w miłości.
 50—75 punktów: Wiesz czego chcesz. Ale zdarza się, że czasami popełnisz jakiś błąd. Nie tracisz jednak przez to spokoju. Jeśli jesteś mężczyzną masz powodzenie u kobiet, jeżeli kobietą — mężczyźni uważają Cię za uroczą i dowcipną.
 30—50 punktów: Czasami niepewny, czasami pesymistyczny. Brak odwagi. Pozwalasz zbyt łatwo „przeprzeć się do muru”.
 Poniżej 30 punktów: Decyzje pozostawiasz zawsze innym, co wyklucza możliwość poważnego traktowania Twojej osoby. Jeśli zdobędziesz się na zaufanie do samego siebie, będzie lepiej.

POLECAMY

MIECZYSLAW LEPECKI: W selwasach Paragwaju. Wiedza Powszechna, 1960, cena 16 zł.
 Spotkania, przygody w Paragwaju znanego pisarza-podróżnika. W. KRAJEWSKI, J. KANCEWICZ, S. KLONOWICZ, ST. LUDKIEWICZ: Ludzie bliscy. Iskry, 1960, cena 10 zł.
 Wspomnienia, sylwetki i charakterystyki ludzi, działaczy rewolucyjnych z przełomu XIX/XX w.

EDWIN JEDRZEWICZ: Gra. PIW, 1960, cena 12 zł.
 Opowiadania o różnorodnej tematyce sięgającej czasów przedwojennych, okupacji, aż po lata obecne.
 J. J. SERVAN-SCHREIBER: Porucznik w Algierii. MON. 1960, cena 18 zł.
 Autentyczna relacja francuskiego oficera w Algierii, świadectwo wydarzeń naszego czasu.

DOŚWIADCZENIA JOHNA REEDA. Książka i Wiedza, 1960, cena 15 zł.
 Wybitny działacz lewicowego ruchu w Stanach Zjednoczonych opisuje w reportażach fakty z ruchu postępowego w Ameryce.

WIESŁAW JAZDZIŃSKI: Okolica starszego kolegi. Wydawnictwo Łódzkie, 1960, cena 20 zł.
 Autor przedstawia stosunki panujące w latach 1937—39 w Kielcach, w których grupa młodzieży odgrywa rolę dość zasadniczą ożywiająca nieco zaśnieżoną atmosferę miasta.

MARCJANNA FORMALSKA: Pamiętnik matki. Książka i Wiedza, 1960, cena 25 zł.
 Pamiętnik matki Małgorzaty Fornalskiej — „Jasi”, straconej przez gestapo.

WŁADYSŁAW JARNICKI: Rudy zostawia ślad. Książka i Wiedza 1960, cena 13 zł.

„Zdarzenia”, ilustrowany magazyn tygodniowy, Kraków, ul. Wielopole 1, III p., tel. 235-60 (centrala) i 202-13 (bezpłatna). Redaguje zespół.
 Naczelny red.: Adam Hollanek. Krakowskie Wydawnictwo Prasowe RSW Prasa, Kraków, ul. Wiślna 2.

Co tydzień premie książkowe

Rozwiązania nadsyłać do dnia 7 IX 1960

